TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą 1 sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego.— **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR

JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi rocznie **talar. cztery.**

Rok I. Drezno, dnia 5. Czerwca 1870. №. 23.

Drezno, od 29. Maja do 5. Czerwca 1870.

Główną w tej chwili uwagę zwraca na siebie położenie tej części Polski, która zostaje pod panowaniem austrjackiem. Tu życie narodowe ma najkorzystniejsze jeszcze rozwijania się warunki, z których polityczną chorobą trawione jak najmniej dotąd korzysta.

Należy jednak poszanować i tę pracę Danaid, która tyle drogich sił i czasu wlewa w przepaście chaosu austrjackiego. Galicja walczy, boleje, trudzi się na wyrobienie sobie bytu, rozmaitemi ideami mierzonego. Stronnictw w niej mnogo, wiele wrzawy, ruchu i zachodu, a ten zachód dla wykształcenia przynajmniej ogółu nie zostanie stracony.

Z trudnością przychodzi skreślić i dzisiejszy stan Austrij i położenie Galicji. Hr. Potocki najgorętszych zawiódł dotąd nadzieje, a ministerjum jego zdala wygląda tylko na przedłużenie poprzedzającego, na nową probę w rodzaju tych, które się nie udały.

W Wiedniu utrzymują nawet, iż byt jego nie jest pewnym i że po za nim stoi reakcja i camarilla gotowa wziąć spadek spodziewany.

Układy z Czechami, jak wiadomo, doprowadziły tylko do połączenia zagrożonych, i do wywołania systematycznej opozycji. Obok nich stają Tyrolczycy i Słoweńcy.

Memorjał przypisywany Riegerowi jest ciekawą illustracją położenia.

Potrzebaby w istocie jenjalnego męża stanu, aby stworzył jednolitą Austrją, z tego zlepka narodowości nurtowanych tylą przeciwnemi prądami. Węgry troszczą się tylko o siebie, Ruś pociągać się daje ku Moskwie, która w niej gospodarzy jak w domu, wybiera księży, posyła agentów, daje subsydja, utrzymuje biura i korespondentów. — Czechy pragną samoistnego stanowiska w połączeniu z Morawą i Szlązkiem, bodaj z pomocą i pod protektoratem Moskwy lub Prus; Niemcy żądają hegemonij straconej i panowania, drobne kraiki domagają się też odrębności lub ciążą ku narodowości swojej z kompleksom nie zależnym.

W ten wir wplątana część Polski sama nie wie spełna jak się ma ukonstytuować w oczekiwaniu przyszłości.

Jasno w tém wszystkiem przejrzeć aż do odgadnięcia następstw nie jest podobna — tyle żywiołów składa grę tej różnobarwnej szachownicy. W każdej z części monarchij są jeszcze pasożytne narodowości, dawnemi systemy wyrobione antagonizmy i nowemi ideami potworzone stronnictwa. — Z tego zamętu Bóg chyba potrafiłby zgodny świat utworzyć, wątpiemy by się to p. Potockiemu udało. Na to trzeba energij niezmiernej, idei jednej a potężnej, poparcia mas a nie zręczności dyplomatycznej i przebiegłości ministerjalnej — na to by trzeba Cavoura lub Bismarck'a.

Po naradach z mężami zaufania w Wiedniu, Galicja została odprawioną z obietnicą autonomicznych ustępstw i nominacji ministra bez teki Polaka, nie prędzej jednakże aż po obesłaniu Reichsratu. (L. hr. Wodzicki?)

W Rosji trwa znany nam porządek moskiewski. — Księdza Piotrowicza ogłosić kazano z ambon za obłąkanego, co spowodowało nowe protestacje i ofiary; prześladowanie religijne nie ustaje. W Warszawie przygotowania ogromne na przyjęcie balem N. Pana, na który składki zbiera gorliwie policja. — W powrocie od wód ma on odwiedzić Warszawę i Skierniewice i ajenci jak zwykle przyrzekają znowu ulgi a łaski, które ma przywieść z sobą.

Głos moskiewski protestuje tym czasem przeciwko uregulowaniu służebności w Królestwie, bo — powiada — podniosłoby to dobrobyt posiadaczy ziemi, a nam idzie o wytępienie i zgubę intelligencji polskiej i możniejszych właścicieli. — Cynizm doktrynera tatarskiego.

Dzienniki donoszą o mających się zaprowadzić sądach pokoju w guberniach zachodnich (polskich) z tą tylko różnicą że sędziowie zamiast być wybieralnemi, przez Rząd będą mianowani. Zmienia to całkiem charakter instytucji, która żadnego zaufania obudzać nie może, gdyż jak inne stanie się narzędziem politycznem i machiną do prześladowania.

Niemieckie dzienniki donoszą razem z tą nowiną o aresztowaniu za nadużycia naczelnika wydziału policji karnej w Warszawie i urzędników kilku. Śledztwo prowadzi się w Cytadelli. Tacy będą i przyszli sędziowie pokoju.

W przeszłym roku, mimo przeszkód, zawiązały się w Królestwie następujące stowarzyszenia: w Warszawie, Merkury, Towarzystwo spożywcze — Kassa zaliczkowa — Bank handlowy — w Radomiu, Stowarzyszenie spożywcze, w Płocku podobneż.

Dzienniki galicyjskie dobrze przedstawiają stan kraju, którego są organami, każdy z nich prawie inaczej zapatruje się na sprawy domowe.... Trudno z tego rokować, ażeby dla porozumienia się i wspólnego działania politycznego, na który wezwanie podpisali Dr. Samelson, Smolka i Ziemiałkowski, doprowadził do zgody i koalicji. **Kraj** występuje przeciw nowym probom ministerjalnym połatania konstytucji i żąda radykalnej zmiany. W konferencjach z Polakami widzi tylko jeden cel, chęć ściągnięcia ich do Reichsratu. Ustępstwa przyobiecane nie mają według niego żadnej doniosłości politycznej. — **Czas** chwilami nawet nie zbyt różowo widzi sytuacją i przyszłość ministerjum obecnego. Radzi on zbliżenie się do Rusi, które **Dziennik polski** odradza, występując zarówno przeciwko Czechom jako reakcjonistom i feudałom i przeciw Rusi jako przedniej straży Moskwy. Ale zarazem zaleca on sojusz z Niemcami liberalnemi. Dla Galicji zaś żąda odpowiedzialnej przed rządem krajowym administracji.

W **Dzienniku lwowskim** znajdujemy wiadomość o po-

danym przez młodzież akademicką lwowską adresie proszącym o język polski w Uniwersytecie.

Dziennik poznański mieści spis mężów zaufania, mających przewodniczyć wyborom w Księstwie, podpisany przez komitet główny. Nie wątpiemy, że one wypadną szczęśliwie, jeśli obywatelstwo tym duchem będzie ożywione jak dawniej bywało i nie chcemy wierzyć rozpuszczanym wieściom, iż część ludzi wpływowych zniechęcona, od udziału w sprawie tak wielkiej wagi, usunąć się myśli. Są to potwarze pessymistów.

Dziennik poznański wydrukował też ciekawy list ks. P. Semeneńki w sprawie między p. Wł. Kulczyckim a OO. Zgromadzenia Zmartwychwstania P.

Sprawa ta, nie wszystkim może znana dokładniej, tak się ma: pan W. Kulczycki od dawna zamieszkały w Rzymie, mianowany przez Ojca Świętego Szambelanem Dworu — nagle obwiniony a raczej posądzany o nieprzychylne Dworowi rzymskiemu korespondencje do Czasu i Dz. poznańskiego, z rozkazu Papieża wydalony został gwałtownie z terytorjum państwa papiezkiego. Banicja ta, oddalenie od rodziny, od domu, od krewnej chorej (która w tym czasie zmarła), stało się powodem bolesnych strat, złamania i zwichnięcia całej karjery. Poszukując tych, którzy go przed Ojcem Świętym obwinili o nieżyczliwość i opozycją tajemną, p. Kulczycki natrafił na ślady i powziął przekonanie, iż wygnania powodem była denuncjacja OO. Zmartwychwstania P. Obwinia on ich o to głośno, wraz z JMks. Koźmianem, w listach do dziennika Kraj wystosowanych.

Na ten zarzut O. Semeneńko odpowiada, przyznać to należy — z umiarkowaniem wielkiem, z powagą i krwią chłodną, listem do Kraju napisanym, a razem przesłanym Dziennikowi, uroczyście zaprzeczając faktowi denuncjacji i dodając na swą obronę, iż poselstwo pruskie dostarczyło dowodów w Rzymie, jakoby p. Kulczycki był korespondentem Dz. poznańskiego.

Redakcja zaś w nocie tłumaczy to, iż chociaż gdy był o to obwinionym p. Kulczycki, już korespondentem być przestał, mogło być iż dawniejszy jego kwit, przy jednej z mnogich rewizij w lokalu redakcji został pochwycony i zabrany.

W sprawie tej, zawikłanej, smutnej — ciemnej, sędziami być niechcemy. . . . Wiemy tylko teraz, że Kulczycki doznał niezasłużonego prześladowania, boć do Czasu i Dziennika korespondencji przeciwnych Ojcu Świętemu i rządowi jego nie mógł pisać. — Nie szło pewnie o te listy, ale o niemiłą osobistość, o prywatę. Z drugiej strony przyznać potrzeba, że tłumaczenie O. Semeneńki i słowo jego kapłańskie całą winę zrzuca na usłużne nazbyt poselstwo pruskie. — List napisany chłodno, poważnie, umiarkowanie, wywoła zapewne odpowiedź p. Kulczyckiego, którą Kraj umieści.

Powtórnie już odezwa pana H. Feldmanowskiego umieszczona w Dzienniku przypomina zaproszenie do Krakowa, które ogłosił Dr. Libelt. Ale jak w Krakowie tak w Poznaniu ta demonstracja braterstwa nie ma za sobą sympatij tych osób z wyższych sfer społeczeństwa, tych imion pamiętnych i znanych nam z dawna, któreby jej znaczenie nadały większe i były rękojmią powodzenia.

Ze smutkiem wyznać to przychodzi, że i w Krakowie i w Poznaniu dziedzice imion historycznych i rodzin znaczniejszych potomkowie, od niejakiego czasu odszczepili się od wszystkiego co patrjotyzmem trąci i uczucie narodowe objawić ma na celu.

Zrozumiałe są powody tego usunięcia się po boleśnych doświadczeniach dni ostatnich; przypomina ono rolę szlachty czeskiej, która po klęsce narodowej przeszła także powoli do obozu zwycięzców, opuszczając starą chorągiew.

Dla kraju strata byłaby wielka, nienagrodzona, cios bolesny, ale czyżby Polska dla tego o swojej przyszłości zwątpić miała?... W naturze są pewne prawa, mocą których społeczność wytwarza z siłą wzmożoną te części, których organizm jej jest pozbawiony. Byćby więc mogło, że i tu Opatrzność ustąpieniem z areny jednych, przyspieszyłaby wyrobienie się tej klasy, której nam niedostawało.

Les absents ont tort.

Dziennik daje opis przyjęcia w Poznaniu znakomitego artysty p. J. Richtera z Warszawy i piękny toast p. Bełzy. Żałujemy, że go choć w części powtórzyć nie możem.

Ciekawa jest także korespondencja z Szaffuzy, w której nowe szczegóły o socjalistach i Muzeum polskiem w Rapperswyl.

Redaktor **Przeglądu wielkopolskiego** p. E. Kierski zapowiada dalsze jego wychodzenie w nieoznaczonym czasie. — Smutną jest rzeczą ogólne dziś prawie niepowodzenie nawet pism perjodycznych.

W **Gazecie toruńskiej** wyczytujemy sprawozdanie Dr. Rakowicza ze stanu zawiązanego jego staraniem Towarzystwa Pomocy naukowej dla dziewcząt. Myśl ta szczęśliwa, poparta gorąco, obiecuje się rozwinąć świetnie. Donosi także Gazeta toruńska o zawiązaniu się w Paryżu polskiego Towarzystwa przemysłu, handlu, sztuk i rzemiosł, któremu życzym powodzenia. — Równie kościańska wystawa jak współczesna jej w Gromadnie zdaniem znawców świadczą o postępie krajowym.

Ubyły nam w tych czasach **Kwiaty** i **Kurjer krakowski**, **Mrówka** narzeka na straty; natomiast powstały poważniejsze pisma: **Prawnik**, **Przewodnik ekonomiczny**, a w Kołomyi zapowiada się **Jutrzenka**, dwa razy w miesiąc, poświęcona naukom, historji, sztuce i ruchowi Stowarzyszeń rozszerzających oświatę.

Staraniem znanego pracownika Karola Forstera i Dr. Robińskiego w Berlinie, zbiera się składka na pomnik Dr. Piętraszewskiego, zasłużonego orjentalisty.

Z warszawskiego Kurjera dowiedzieliśmy się o śmierci w Zurichu, d. 5. Marca, artysty malarza, niegdyś głośnego u nas i na Litwie, rodem Wołyniaka, Jana Moraczyńskiego. — Kształcił się on w Wiedniu, Monachium i we Włoszech. Żył przeszło lat 60. Prace po nim pozostałe bardzo liczne sprowadzone być mają do Warszawy. Moraczyński malował portrety i obrazy religijne. Nie był to jenjalny artysta, ale człowiek z talentem, z sercem i duszą. Pisał wiele po polsku i po niemiecku, a w ostatnich czasach głównie idee religijne i filozoficzne go zajmowały. Wszystkie Moraczyńskiego obrazy, akcesorja ich, najdrobniejsze szczegóły wzorowane były z natury, bez niej nie malował nic.

W Królestwie, w Złakowie borowym, zmarł włościanin Jan Golis, który sam nauczywszy się czytać i pisać, wykształcił się na bardzo rozsądnego i pożytecznego człowieka. Golis zajmując się stolarską robotą, kościół złakowski pracą rąk swych ozdobił.

W Księztwie Poznańskiem umarł dnia 31. Maja Roman Kalkstein z Błotnicy, były podpułkownik wojsk pruskich, znany jako autor pism kilku w przedmiocie sztuki wojskowej i obywatel przykładny.

Gwiazdka cieszyńska donosi o projekcie stowarzyszenia dla wydawnictwa broszur ludowych w języku polskim, które przedsiębiorą duchowni katoliccy z dekanatu jabłonkowskiego, — mówi także o zgromadzeniu ewangelików w Cieszynie, dla rocznych obrachunków zborowych i sprawy gymnazjum miejscowego. Na zebraniu tém było stukilkudziesięciu Polaków, a kilku Niemców tylko.

Ś. p. książę **Jerzy Lubomirski** z Rozwadowa przekazał w testamencie swoim znaczny legat Towarzystwu Naukowemu Krakowskiemu, częścią na wydawnictwa przeznaczony, częścią na nagrody za najlepsze dzieła polskich autorów.

Otóż fundacya ta weszła już w życie i z ostatnich pięciu lat ma obecnie Towarzystwo Naukowe Krakowskie premjować najlepsze dzieła pisarzy polskich w tym okresie ogłoszone.

Zadziwia nas to bardzo, że dzienniki nie poruszyły tej kwestyi, że publiczność nie zna ani składu komisji, która te premia rozdawać będzie, ani spisu dzieł ważnych wyszłych w tym okresie, któreby i komisji i publiczności przypomnieć należało.

W czasie dzisiejszym, gdzie literatura jest w upadku, gdzie ważne szczególnie dzieła nie znajdują uznania, a autorowie polscy żadnej nie mają zachęty, premjowanie dzieł polskich z funduszów publicznych jest wielkiej doniosłości faktem, który

należy w dziennikarstwie podnieść do właściwego znaczenia i oddać pod rozpoznanie i sąd opinji publicznej.

Oczekujemy tedy po komisji, że przed rozdaniem nagród ogłosi szereg dzieł odnoszących się do tego okresu, a postawi tę rzecz jawnie w bibljograficzném i naukowém sprawozdaniu swojém. W czasach, gdzie jury sądzi o utworach sztuki i literatury, na wystawach, w akademjach, jawność jest jedyną rękojmią wymiaru sprawiedliwości dla publiczności polskiej.

Domagamy się tej jawności po komisji, której zadanie jest zaszczytne lecz wielostronne a tém samém nie łatwe.

Korrespondencye.

Listy Soborowe.

XXI.

Rzym, 27. Maja.

(γῆ.) Dnia 19. Maja kongregacja soborowa otworzyła się mszą ks. Franchiego arcybiskupa tessalońskiego a nuncjusza hiszpańskiego. Odzywali się na niej: kardynałowie Cullen arcybiskup z Dublinu i Moreno arcyb. z Valladolidu, ks. Jusuf patryarcha antyocheński i ks. Simor prymas węgierski.

Mowy obu kardynałów, znanych obrońców udogmatyzowania nieomylności papiezkiej, żarliwie za nią obstawały. Patryarcha antyocheński, lubo z wielkiém umiarkowaniem, silnie się udogmatyzowaniu opierał. Mowa prymasa węgierskiego oględna i dyplomatyczna, równoważąca się między obiema stronami, miała trącić, jak zapewniają, zbyt widoczną nadzieją kardynalskiego kapelusza i odbijała obok mów kardynałów Rauschera i Schwarzemberga, w przeddzień powiedzianych. Pierwszy dowodził niepodobieństwa orzeczenia dokładnie kiedy Papież przemawia *ex cathedra* oraz praktycznego zastosowania dogmatyczności do aktów papiezkich w dziedzinie obyczajowej, gdzie oprócz niesłychanych trudności historycznych — gdyż moc dogmatyczna i na wstecz rościągać się musi, — nastąpić powinny nieuchronne starcia między Kościołem a rządami, które zwyły wkraczać w tę dziedzinę. Drugi zaś, powstając stanowczo i gorliwie przeciwko dogmatycznemu orzeczeniu, uderzył na ultramontańskie pisma la Civiltà cattolica i l'Univers, potępiając głośno opiekę, jaką Dwór rzymski nad temi pismami rościąga, słabość, jaką ma do nich, i wytykając zgorszenie, jakie skłonność do organów tak gwałtownych i namiętnych rodzić koniecznie musi w krajach, gdzie rzymski, francuzki i belgijski ultramontanizm ogranicza się do paru dzienników i niewielu osób, a nie zaraził jeszcze katolickiego ludu i większości duchowieństwa.

Dnia 20. Maja na kongregacji soborowej odprawił nabożeństwo ks. Loza arcyb. z Guadalaxary. Mowcami dnia tego byli: ks. Mac-Hale arcyb. Tuam obrz. łacińskiego, ks. Darboy arcyb. paryzki, ks. Simor prymas Węgierski, przemawiający powtórnie, i ks. Bar-Szynu arcyb. z Salmas obrz. chaldejskiego.

Ks. Mac-Hale odpowiadał kardynałowi Cullenowi z wielką prostotą, jasnością i umiarkowaniem, ale przytém ze znakomitą ścisłością loiczną i siłą dowodów zbijał wszystkie 'jego argumenta na korzyść dogmatycznego orzeczenia, dowodząc owszem niewczesności i niemożności takowego.

Arcybiskup paryzki pokazał oczywiście, że czynione mu zarzuty dwuznaczności i mydlenia w nadziei kardynalskiej purpury, były bezzasadnemi. Mowa jego przeciw udogmatyzowaniu była *nec plus ultra* dobitności i stanowczości. Chłodno i głęboko pomyślana, przywdziała owszem formę wyrazistą, gorącą, niemal gwałtowną. Mowca, jak to pospolicie mówią, nie obwijał zdań swoich w bawełnę. Dowodził, iż następstwa zamienienia nieomylności papiezkiej w dogmat wiary stać się muszą nieodbicie szkodliwemi, niebezpiecznemi, zgubnemi. Rzekł bez ogródek, że ogłoszenie dogmatu nieomylności było jedno i to samo co nieuchronny i niechybny upadek doczesnej władzy papieży. Innemu mowcy można by zarzucić przesadę i nieznajomość politycznego położenia, skrytej myśli gabinetów: członkowi zaś rady prywatnej cesarza Napoleona i osobistemu jego przyjacielowi trudno było uczynić podobny zarzut.

D. 21. na kongregacji soborowej celebrował ks. Cugini arcyb. modeński. Mowcy występujący dnia tego, bronili wszyscy nieomylności, a opozycja żadnego podobno rzecznika nie miała. Nazwiska Ojców tych nie są nam wiadome.

D. 23. mszą o Duchu Świętym na soborowém posiedzeniu odprawił ks. Bernardou arcyb. z Sens. Wstępowali potém kolejno na mownicę: ks. Hassun patryarcha ormiański, ks. Ketteler bisk. moguncki, ks. Ginouilhac biskup z Grenoble i ks. Gastaldi biskup z Saluzzo.

Mowa patryarchy cylicyjskiego była odpowiedzią na mowę jego antycheńskiego kolegi. Ks. Hassun, który najpierwszy, jak wiadomo, podpisał *postulatum*, domagające się udogmatyzowania i stał się powodem odszczepieństwa na Wschodzie, w którém kwestja nieomylności papiezkiej niemały ma udział, powiedział jak się można było spodziewać, rzecz posuniętą do najskrajniejszych zdań w pomienionym przedmiocie. Owszem, księża Ketteler, Ginouilhac i Gastaldi silnie uderzali z kolei na zamyślany dogmat.

O następnych dwóch posiedzeniach, które się odbyły d. 24. i 25. Maja dokładnych wiadomości jeszcze nie mamy; więc sprawozdanie z nich odsyłamy do następnego listu. Jutro nastąpi znowu kongregacja soborowa.

Deputacja dogmatu zbierała się w niedzielę i skutkiem niezmiernej opozycji mniejszości soborowej uznano potrzebę zaprowadzenia niektórych złagodzeń w schemacie o nieomylności, ale zarazem, jak zapewniają, postanowiono nowy dogmat przeprowadzić. Ufać należy, że postanowienie to nie przyjdzie do skutku i że Bóg, który czuwa nad swoim Kościołem, potrafi go ochronić od tego zamachu stanu, którego następstwa, jak dowodzili dobrze na ostatnich posiedzeniach kardynał Schwarzemberg, ks. Hefele i ks. Darboy, staną się groźnemi i sięgają po za obręb możliwych przewidzeń ludzkich. Prasa ultramontańska, która nielitościwie bałamuci, oszukuje i usypia świat katolicki, straszną, stosownie do zdania arcybiskupa pragskiego, ściąga na siebie odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi, przysypując kwiatami najzłudniejszych barw i upajającej woni przepaść udogmatyzowania, do której, jak się wyraził inny biskup francuzki w liście w Debatach świeżo ogłoszonym, większość soborowa leci tryumfalnie. Kardynał Schwarzemberg, który jest konserwatystą w całém znaczeniu tego wyrazu i któremu wcale zarzucić nie można, że podziela z wielu biskupami mniejszości zasady liberalne, te które nazywać zwykli zasadami z 1789 roku, wskazał właśnie tę przepaść z zachowawczego stanowiska. Dowodził on bardzo trafnie, że rewolucje miewają dwojakie pochodzenie, z dołu i z góry: z dołu nazywają się buntem, z góry zamachem stanu. Obu dążności spotykają się ze sobą wychodząc z dwóch przeciwnych punktów. Wolność, która podobnie do prawdy, *in medio veritas*, znajduje się także po środku *in medio libertas*, szwankuje zarówno od obu czy to w rządach tego świata, czy w rządach Kościoła Bożego. Świeccy monarchowie, którzy przez miłość samowładztwa niszczyli wkoło siebie wielkie ciała państwowe i narodowe, otwierali zawsze rokoszom, rewolucjom, podwoje swojej tronowej komnaty. Ci, którzy chcą przelać na jedyną głowę Papieża całą powagę biskupów, soborów powszechnych i Kościoła całego, są także rewolucjonistami kościelnymi; niszczą bowiem równowagę, którą Bóg chce mieć w świecie duchownym tak dobrze jako i w politycznym; chcą nieograniczonego rozprzestrzenienia i rozdęcia głowy z widoczną szkodą reszty ciała; każą wreszcie naukę Zbawiciela, który mówiąc świętemu Piotrowi: Modliłem się za tobą, aby wiara twoja nieustawała, nie zamierzał bynajmniej nadawać mu przez to osobistej i odrębnej od innych Apostołów nieomylności. Zdanie kardynała Schwarzemberga co do rewolucyjności udogmatyzowania jest dziś podzielane przez wielu kardynałów i prałatów rzymskich, bardzo zkądinąd zacofanych w materjach politycznych i tak zwanych gregorzowych (*gregoriani*), bo chwalą zawsze rządy Grzegorza XVI. i nazywają Piusa IX. rewolucjonistą, najprzód w polityce jak to 1847 i 48 roku, a dzisiaj w dziedzinie duchownej, zapowiadając Kościołowi te same za jego sprawą klęski, jakich doznała władza doczesna Papieży skutkiem rewolucyjnej jego inicjatywy w pierwszym roku panowania. Tak tedy dogmat nieomylności ma przeciwko sobie nietylko liberalistów, ale i konserwatystów *κατ ἐξοχὴν* czyli *per excellentiam*. Ks. Hefele położył także nacisk na tę rewolucyjną dążność większości soborowej, wyrażającej się ustanowieniem dogmatów, których jako żywo Kościół Chrystusów nie znał i grożącej zupełnym przewrotem nauki objawionej: „Powiedziano w tej zagrodzie, rzekł on, że święty Piotr zdumiałby się, gdyby wstawszy z grobu ujrzał wszystkich biskupów Chrześciaństwa tutaj zebranych. Ja zaś powiadam, że gdyby święty Piotr zmartwychwstał, struchlałby i odchodził od siebie z boleści widząc gotujące się przy jego katakumbie ścięcie św. Pawła, to jest episkopatu całego, któremu jednym zamachem chcą głowę strącić z karku.“ Kardynał Schwarzemberg przy końcu ostatniej mowy swojej wyraźnie pogroził syzmą nie tylko wschodnią ale i zachodnią. Arcybiskup paryzki, jak donieśliśmy wyżej, zapowiedział upadek

świeckiej władzy Stolicy Świętej, jako bezpośredni wynik udogmatyzowania nieomylności. W ogóle biskupi z opozycji na to zwracają uwagę, iż w rzeczy samej przedstawiają oni większość katolickiego świata w zdaniu o nieomylności papiezkiej, albowiem mają ogromne dyecezje w najbardziej ucywilizowanych krajach, w ów czas gdy liczbową przewagę na Soborze otrzymują pasterze mający albo szczupłe bardzo diecezje, jak we Włoszech, gdzie na 22 miljonów mieszkańców przypada 275 biskupów, nieliczące wakujących stolic, dyecezje z nieznaczną liczbą wiernych, jak wikarjusze apostolscy, albo nakoniec pasterze bez owieczek, to jest *in partibus infidelium*, Biskupi opozycyjni powiadają, że od lat ośmiu czy dziesięciu jak Jezuici zaczęli przyprowadzać do skutku pielęgnowany przez nich od lat trzystu projekt udogmatyzowania, biskupi włoscy, wikarjusze apostolscy i biskupi *in partibus* misjonarzami nie będący, wybierani byli ciągle i niezmiennie za ich sprawą między duchownymi, o których miano pewność, że za projektowanym dogmatem będą głosowali. Wzgląd na ten dogmat był magnesową iglicą w prekonizacji biskupów i takim sposobem zdołano dojść powoli i cierpliwe do utworzenie jednolitej większości. Pomienieni Ojcowie dodają nakoniec, że Jezuici widząc wielkie chmury zawisłe nad Towarzystwem Jezusowem i bacząc podeszły wiek Piusa IX., (z innym bowiem Papieżem nie dopięli by swego celu) jako też niepewność jutra dla doczesnej władzy, postanowili przyspieszyć swój zamach stanu, który tem się najbardziej wydaje i wykazywa, że agitacja o nieomylności wywołaną została nie przez przeciwników, ale przez tych samych, którzy zamyślali udogmatyzowanie, że nikt obecnie nie podawał w wątpliwość powagi i zwierzchności rzymskiego pasterza, tak jak podawano w wątpliwość wielkie prawdy religijne, które dawne sobory musiały dopiero zasłaniać i stwierdzać dogmatycznemi orzeczeniami, i że owszem Papież jako Głowa Kościoła uznawany był i szanowany przez większość tych nawet, którzy mu chcą królestwo doczesne odebrać. Agitacja więc ta, przytaczana dzisiaj jako główna podnieta i konieczny powód do dogmatycznego orzeczenia, jest sztuczną jak sztucznemi są adresa ze wszystkich części świata do Papieża na korzyść udogmatyzowania [wysłane na jednostajne hasło i komendę. Jezuici, — powiadają opozycyjni Ojcowie — rzekli sobie: albo zamach stanu się uda i będziemy panować nad Kościołem całym, albo się też nie powiedzie, a wtedy zguba nasza, która zkądinąd staje się nieuniknioną, nie ograniczy się na nas: wraz z nami zginie także papieztwo i spełni się to, cośmy zawsze utrzymywali i dowodzili, to jest, iż papieztwo istnieć nie może bez Towarzystwa Jezusowego. Słowem byłby to wypadek tonącego, który się chwyta pływacza, wołając: wypłyniem razem, albo ty ze mną musisz pójść na dno! Opozycja w prywatnych swych rozmowach powiada bez ogródek, iż uważa Towarzystwo Jezusowe i dogmat za te właśnie bramy piekielne, które wielki Klemens XIV. przeczuwał w zgromadzeniu, kiedy je rozwiązał oną pamiętną bullą, której tekst już nawet dziś zaginął. Wielką, prawią, oddałby usługę wiernym, ktoby tę bullę obecnie wynalazł i przedrukował. Jednem słowem rozjątrzenie mniejszości soborowej przeciwko Jezuitom jest nieuśmierzone, a X. Melchers, arcybiskup koloński, powiedzieć miał jenerałowi ich, O. Beckxowi: Jeżeli ogłoszenie dogmatu nastąpi, wyruguję wasz zakon z mojej dyecezji. Kilku innych biskupów miało się w jednakowy sposób wyrazić.

Broszury i dzieła za nieomylnością i [przeciwko niej sypią się rzęsisto. Poświęcone jej obronie drukują się bez wyjątku w Rzymie, najczęściej w drukarni jezuickiego przeglądu *la Civiltà Cattolica*; przeciwne jej zaś nie mogąc wychodzić w Rzymie (pod ciężkiemi kary, choć we wszelkim legalnym sporze obie strony powinny używać jednakowej swobody), drukują się najczęściej w Neapolu. Z pierwszych zasługuje na wyjątkową wzmiankę licząca około 180 stronnic książka ks. Caedoniego, arcyb. edeskiego i członka deputacji dogmatu p. n. *De dogmatica Romani Pontificis infallibitate ejusque definibilitate.* Do dzieła tego, uważanego za stanowcze i nieodparte przez infalibilistów dołączone jest votum za nieomylnością jedenastu konsultatorów deputacji dogmatu ze słynnym jezuickim teologiem O. Persone na czele. Oświadczają, iż uznają wszystkie zdania ks. Cardoniego za swoje i piszą się na nie bezwarunkowo.

Z przeciwnych zaś dzieł wymienić należy broszurę ks. Hefelego: *Causa Honorii Papae*, wyczerpującą całkiem ten przedmiot i dowodzącą czarno na białem, że papież Honorjusz potępiony jako heretyk przez trzy ekumeniczne sobory, był rzeczywiście monolitą i kacerzem całą gębą. Zachwalają także nadzwyczajnie dopiero co wyszłe dzieło biskupa z Moreno, które ma być arcydziełem nauki, głębości, loiki. Rzeczywistym autorem onego ma być....... Jezuita! Zdaje się, że ten tajemniczy Ojciec stanął jako *signum contradictionis* w obec zgromadzenia swojego, i że dla tego właśnie grobową musi się otoczyć tajemnicą. — Dziełko ks. Kenricha arcyb. z Saint-Louis w Missuri, w Neapolu wydrukowane, mieści w sobie to ważne zdanie: *Nego eum (papam) pro infallibili habendum nullo episcoporum orbis assensu accedenti.* Pomysł ten coraz wybitniej się postaciuje, rośnie, olbrzymieje, że jeżeli dogmat większością tylko głosów a nie zaś jednomyślnie orzeczony zostanie, katolicy wbrew przeciwnemu twierdzeniu większości soborowej, powinni go uważać za niebyły i żaden i apelować do następnego Soboru ekumenicznego, który watykański pociągnie za sobą, skoro Pius IX. zejdzie z tego świata. Jeden z biskupów francuzkich, którego mamy szczęście znać osobiście i z bliska, napisał niedawno list, który w *Débatach* ogłoszony został, a w którym czytamy: ,;Kościół jest i zostaje nieomylnym w soborach powszechnych; tylko potrzeba na to, aby przedstawiały wszystkie cechy ekumeniczne: prawowite zwołanie, swobodę zupełną dla sądów, potwierdzenie przez Papieża. Jeżeli jednego z tych warunków nie dostaje, reszta może być w wątpliwość podaną. Mieliśmy rozbój Efezyjski, co nie przeszkodziło wcale późniejszemu zebraniu się prawdziwego Soboru tej nazwy. Moglibyśmy mieć *ludibrium Vaticanum*, co nie zawadziłoby naprawieniu złego na nowem i poważniejszem zgromadzeniu.

Jesteśmy w stanie potwierdzenia wam w zupełności doniesienia naszego o zabiegach czynionych na pokojach watykańskich przeciwko okólnikowi dziekana wileńskiego Piotrowicza. Nie jedna lecz trzy osoby posłane były do Wytykanu przez wiadomą koterją.

W numerze 21. T y g o d n i a znajdujemy nowe wystąpienie z dekanatu Ołobockiego przeciwko nam. Widocznie nie rozumiemy się wzajemnie i polemika staje się przez to niemożliwą. Krytyk przekonywa przekonanego, nawraca nawróconego, z pola nieomylności przenosi spór na całkiem inne pole i dowodzi nam, że Kościół ucywilizował świat, że był obrońcą uciśnionych, karcicielem nadużyć, opiekunem murzynów. Właśnie napisaliśmy dzieło w dwóch tomach dowodzące tych samych rzeczy i innych jeszcze i gotowe jest do druku. Jednak konkluzja naszego dzieła wbrew przeciwna konkluzji ołobockiego krytyka: my utrzymujemy właśnie, że nie ma rdzennego przeciwieństwa między nowożytnym światem a Kościołem, że między wielkiemi zasadami nowożytnego społeczeństwa: głosowaniem powszechnem, prawem narodowości, wolnością wyznań i druku, prawem zrzucania najedniczej władzy ilekroć siła i okoliczność potemu, a nauką Ewangelii św. zachodzi zupełna tożsamość. O materjaliźmie, o samolubstwie, o bezbożności nie mówim jako o istocie rdzenia naszego wieku, bo te zgubne prądy istniały zawsze i wszędzie gdzie istniała walka złego i dobra, cudowny skutek wolności woli naszej. Nie trzeba zbytecznie poniżać naszego wieku. Upłyniony był gorszym: otworzył się ostatnim stosem Inkwizycji wzniesionym w Palermo d. 6. Kwietnia 1724, a skończył się rozbiorem Polski. Chcielibyśmy wiedzieć z naszej strony co w dekanacie Ołobockim myślą o owych wielkich zasadach nowożytnego świata, tudzież o zgromadzeniu Zmartwychwstania Pańskiego? — Dobrze wiedzieć z kim się rozmawia.

Sieciechówek, 19 Maja.

Korespondent z Białośliwia milczy. Ale zkądinąd dochodzą nas wiadomości pewne, że to ajenci — niewiedzieć czyjego szatańskiego wymysłu, lub też spekulacyj ohydnych — obiegają włości polskie i zieją jad o pomstę wołający do Boga, by chłopków polskich wyojczyznić i wysłać ich na drugą półkulę ziemi. Są to prawdziwi *Bauerfänger* — handlarze niewinnej krwi polskiej! Lud obałamucony zawierza im i odrywają szatani owi całe szeregi rodzin polskich od gleby ojczystej. — We wsi jednej wszelako zrozumieli włościanie całą tę sprawę piekielną lepiej . . . i już tam czyhali na jednego z takich niecnych zesłańców, by mu — jak się wyrażali — d o s k o n a l e s k ó r ę z g a r b o w a ć. Lecz zwietrzył znać co się święci, bo nie zjawił się więcej. W następstwie zapewne skończy się i nieraz na wyfrycowaniu tych faktorów występnych, tymczasem jednakże wielu oszałomionych w nieszczęsną wybiera się wędrówkę. Toć niedawno wychodzący pociąg z okolic wągrowieckich nie podołał zabrać wszystkich, którzy podążyli, by do Ameryki popłynąć. Jest to aż nadto dotkliwa klęska, przekleństwo nasze winno ścigać tego, czyja głowa plan ten piekielny wykuła — i tych, którzy tę podłą prowadzą frymarkę. Mówiono nam, że niekiedy przychodzą niby też to listy z Ameryki od osiedlonych tamże polskich chłopów do ich braci — zachęcające do emigracyi i wystawiających pobyt ich w tej ziemi obiecanej — jakoby w raju złotem płynącym. Listy te

są podrobione zapewne — ale jakże to sprawdzić? Jednem słowem, że ajentura umie intrygi prowadzić i ma poparcie.

Czytając owacye ludu berlińskiego na cześć cara Aleksandra, w chwili, gdy ostzejskie prowincje jęczą pod srogim naciskiem — przyszła nam na myśl jedna zwrotka z Ody do Moskali naszego wielkiego Adama. Ale to i cóż powiedzieć więcej — jak tylko ramionami wzdrygnąć!

Drugostronnie jednakże był pogrzeb zacnego Waldeka z prawdziwie demonstracyą wyższego poczucia. I pociesza rzeczywiście to uznanie śmiertelnych zwłok męża, który miał odwagę wszędzie i zawsze wygłosić prawdę i nigdy z raz wytkniętej prawej nie zboczył drogi — mimo walk i przejść trudnych.

Doszła nas wielce przyjemna niespodzianka literacka: wolny przekład niemiecki Szpiega Bolesławity: Der russische Spion, dokonany starannie bardzo przez panią Amalią Arndt — wraz z piękną, serdeczną przedmową autorki. Pani Arndt ma zamiar z całą seryą powieści polskich poznajomić współrodaków swoich. Oby tego potrafiła dokazać! — Pomiędzy innemi wydała w piśmie czasowem, wychodzącemi w Stuttgart, Erheiterungen, powieść Pauliny z L. Wilkońskiej Wawrzyna, pod tytułem Rechtschaffene Herzen. Ś. p. professor Mikołaj Fritz, lektor języka polskiego przy uniwersytecie wrocławskim — tłumacz Ostapa Bondarczuka i Jaryny — pragnął od czasu do czasu zamieszczać w dziennikach niemieckich, tłumaczone z polskiego powieści — a nie udawało się miłującemu całem sercem wszystko co polskie i nieraz z żalem twierdził, że w tem jest raczej tendencya wyraźna, ażeby intelligencyi naszej nie poznano, o której nic wiedzieć nie chcą, uważając nas jakby naród zamarły. Albo raczej, jakoby nas żywcem pogrzebać chcieli — bo po śmierci zwykle następuje uznanie i umarłego już nie lękają się — a nawet i pochwalić go można. — My zaś żyjemy i żyć będziem! — Pisma, do których szlachetny Fritz się zgłaszał, wolały drukować niby to na tle polskiem stworzone nędzne ramoty przez autorów niemieckich — pełne egzaltacyi, przy dobrej nieraz chęci — ale bez cienia świadomości rzeczy, historyi, obyczajów, zwyczajów a nawet i miejscowości — jeografii!! Że i podziwiać należy ten zupełny co do kraju polskiego brak wiedzy. Poszczęść zatem Boże, zacnej Amalii Arndt, bo nam pracą swoją prawdziwą odda przysługę.

Bawi w Poznaniu p. Józef Rychter, artysta dramatyczny sceny warszawskiej. Da nam kilka nateraz przedstawień, na które cieszymy się szczerze — i jest nadzieja, że ku jesieni całkiem pozostanie tutaj. — A wtedy pod wpływem takim przy wzorach jego i pani Aszpergerowej, przy ciągłych staraniach dyrekcyi, możemy scenie poznańskiej rokować, — że po niedługim czasie pierwszorzędną się stanie. —

Dyrektorowie Nowakowski i Sztengel rozłączyli się, co w publiczności wcale nieprzyjemne sprawiło wrażenie. Tem bardziej, że zarazem opuścili scenę poznańską pp. Kaleciński, Zboiński i pani Bolechowska. Pan Kaleciński jest już dzisiaj znamienitym artystą, rutynowanym niezmiernie. Pan Zboiński przy talencie swoim i pojęciu ma przyszłość przed sobą — znamienitą pewnie. Wdzięczna osobistość pani Bolechowskiej zawsze mile witaną była. — Oby nam przynajmniej dwaj pierwsi pokrótce wrócili.

W Gnieźnie towarzystwo dramatyczne wielkie miało powodzenie. A miejscowi i zamiejscowi obywatele podejmowali je sercem i staropolską gościnnością.

Dziś mrówił się Poznań wracającemi z wystawy Kościańskiej. Wszyscy są bardzo zadowoleni. A słyszeliśmy zdanie z ust Niemca obywatela, że wystawa kościańska i zagranicznym nie ustępuje. — Zjazd był liczny bardzo. Tłumno — gwarno — więc i z upragnieniem powróciłem do mojego zacisza, zkąd nie wyruszę, aż na pierwszy występ Rychtera.

Wyjątek z listu z **Poznania**, 30. Maja.

Pan Kaliciński powrócił na scenę naszą, co publiczności prawdziwą sprawiło przyjemność. I życzymy sobie, ażeby pozostali z nami wszyscy jego koledzy, już ich znamy, przywykliśmy do nich, bo i nie jeden ubiegłej zimy zapełnili nam wieczór. Uznać także należy, że młodzi artyści widoczny robią postęp, że pracują i coraz większą sobie zyskują sympatyę. Mieliśmy tego wczoraj nowy dowód, na przedstawieniu Ubodzy w Paryżu, bo publiczność nader zadowolona — po dwakroć wywołała panów Tkaczopolskiego i Dobrzańskiego. Pierwszy ogólne sprawił wzruszenie w akcie pierwszym śmierć marynarza — i w 5tym Litości! litości! moi panowie! gdy wysilony niedolą, rozpaczliwie żebraczą wyciąga rękę, śpiewa — i spotyka matkę i siostrę, które żebrzą także! — Pan Dobrzański po razy parę aż uniesienie wywołał jako Planterose. — O paniach Aszpergerowej i Nowakowskiej niema i co mówić. Toż samo o panach Nowakowskim i Konarskim. Panny Goreckie pracują i postępują. — Teatr stał się dla Poznańczan dziś już potrzebą, a wszelkie odzywania się zdań przeciwnych muszą spełznąć na niczem.

Jest to obecnie dla nas kwestya — bo kwestya narodowa, na której oprzeć się można. Nikt nam dziś tego nie broni, nie przeszkadza w niczem — więc nie przeszkadzajmyż sami sobie. Bo i sami niekiedy zło na własne ściągniemy głowy bezpotrzebnie, a raczej bezuważnie, nie oglądając się na stosunki nasze i przyszłą dolę.

Tobolsk, 10 Grudnia 1869.

(Ułamek z listu.)

... Po trzytygodniowej podróży, w towarzystwie dwóch żandarmów, przybyłem do Tobolska w najzupełniejszej pewności, że gdzieś około tego miasta mam pędzić życie wygnańcze. W życiu dotychczasowém, mimo uszów, puszczałem co gadano i pisano o Sybirze. Wracali ztamtąd, opowiadali, ale cóż to mogło mnie obchodzić? Mówiono o Nerczyńsku, o Krasnojarsku, ale gdzie to? Jakie przestrzenie dzielą miasta owe od nas? — Zdawało się nam niepotrzebném wiedzieć. — Więc Tobolsk i Tobolsk. Na niego rachowaliśmy. — O kilka stacij przed końcem tej podróży już przebąkiwano o dalekiej jeszcze przestrzeni przed nami — ale, bzdurstwo! mówiliśmy sobie. I otę wiozą nas do Prykazu, to jest urzędu, który rozgatunkowuje zesłanych wszelkiego rodzaju i rozmieszcza ich po obszernym Sybirze. Szukają tam naszych spisków statejnych, rodzaju formularzy, trwa to godzin kilka. — Towarzysza mojego spisku nie znajdują, piszą nowy, stawią pod miarę rekrucką, wreście przypadkiem podchodzę do jednego stołu, pytam — tak sobie — nawiasem, zlekka, gdzie się udamy. Aż, powiada nam urzędnik, że do Irkutska. — Gdzie? co? — A tak, powiadają, zesłani do katorgi, wszyscy tam idą, bo w guberniach Zachodniego Sybiru nie ma tych karnych zakładów. — Jakże to daleko ten Irkutsk? — Trzy tysiące wiorst!! — była odpowiedź.

Otóż dla tego przebyłem 3000 wiorst z ... do Tobolska, dla tego cieszyłem się, że skończyło się nareście więzienie dwuletnie i samotne okropne w pewnym względzie, potém wspólne — przykre pod wielą względami; dla tego przestrzeń tę przebyłem, aby znów doznać tych samych uczuć, które były udziałem moim na zachodnim końcu tej linij trzytysiącznej. Anim tyle pieniędzy miał, by jechać na swój koszt, ani żona moja wyobrażała sobie, że gdzieś dalej za Tobolsk pojadę. — Sam środek zimy, jakże się tu z korespondencyą ułatwić? — Kiedy się zjadę z żoną? kiedy się urządzą między nami stosunki piśmienne? Droga etapowa więc przedemną bez towarzyszów swoich, a tu chłopiec ze mną z domu — wychowaniec. Wtedy to po raz pierwszy padło we mnie nasienie tego tyfusu, który w kilkanaście dni potém rozwinął się. — I w takich to okolicznościach trzeba widzieć powody śmiertelności wielkiej między naszemi i w ogole zesłanemi, na przestrzeni od Kunguru do Krasnojarska. — Stan moralny łącznie z wyczerpniętemi środkami z domu wziętemi, prawdziwą przyczyną tyfusu, a naturalnie przy tém do najwyższego stopnia brak hygjenicznych warunków po etapach i więzieniach. — Na ciało zresztą tu zdrowo, ale na duszę nie zdrowo. — Żadnych chronicznych chorób, żadnych zaraz...

Panujące klęski, mieszkańców stałych i przybylców dotykające, warjacja i pijaństwo. — Naszych warjatów po szpitalach miejskich i swobodnie chodzących wielki procent. I po większej części najgodniejsi lepszego losu tej smutnej chorobie ulegają.

W ogóle wszyscy mają nerwy rozdrażnione, tak że każdy uczy się tolerować przekroczenia zwykłej grzeczności lub przyzwoitości; wybryk nie zwraca uwagi.

Jedni tańczą na wulkanie, tańcem śmierci, owym greckim; drudzy bladzi, z zapadłemi oczami podobni są do mieszkańców załogi długo oblężonego miasta, któremu już dawno przestano żywności dostarczać. — Od czasu do czasu ten i ów doznaje wstrząśnienia życie podbudzającego, gdy list z domu odbiera — ale za to po przeczytaniu go, dwa, trzy razy, podzieliwszy się najbłahszemi często wiadomościami z towarzyszami, w tem większy wpada smutek, i już mu się zaraz zdaje, że Bóg wie jak dawno ten list otrzymał. Żądza listów staje się nałogiem, podobnym do pijaństwa. I pragniesz bo serce boli — zaspokajasz pragnienie — lekarstwo gorsze od choroby. I niema ratunku. — Tylko pozbycie się serca i rozumu kładzie kres męczarniom.

W głossie św. Teresy powiedziano: Umieram z żalu, że umrzeć nie mogę. — A tu jeszcze gorzej: bo nie chcę umrzeć, choć śmierć wyzwoleniem, a śmierć tu, to śmierć nad śmierciami. Może sobie człowiek poradzić w dzień, wynajdujesz pracę z celem czy bez celu, czy dla chleba, czy dla zdrowia duszy i umysłu — ale cóż zrobić z nocą? Tych chwil, kiedy się odosabnia od świata i zostaje sam z sobą, nie pozbyć się. — Wtedy wampir we wnętrznościach siedzący dzieło swe rozpoczyna i pozbawia dobrodziejstwa cierpiących — snu i sprawia, że z rana taki człek list napisze, jak oto ja. Ale, zbliżamy się ku południowi, światło dzienne i życie w koło wzywa do czynności i męztwa. I ja porzucam moje elegje i treny, a wracam do rzeczywistej prozy. —

Gdyby... chcieli poznać Wiatkę, droga bardzo dogodna. Mało się różnić będzie od dróg cywilizowanych. Do Niżnego Nowogrodu wciąż koleją. To miasteczko 400 wiorst za Moskwą, ztąd do Kazania porowcem po Wołdze. — Z Kazania 380 wiorst drogi lądowej do Wiatki. — W Kazaniu można nająć tarantas dosyć wygodny. Dnia 25. Lipca, to jest naszego 13. w Niżnym Nowogrodzie jarmark mający europejską sławę, — herbatę, futra, tkaniny azjatyckie z pierwszej ręki. — Okazy wszelakich plemion wam nie znanych. — Jest tam pani... mogąca dać wszelkie informacje....

W Kazaniu są nasi. — Wreszcie wszędzie się obcy może udać do sztabsoficerów żandarmskich; ludzie są światli, grzeczni i uprzejmi — dla cudzoziemców. — Kazań bardzo także miasto zajmujące dla Europejczyków przesyconych swojemi typami... Anglicy przebywają Sybir w całej jego szerokości wśród lata i patrzą okiem zimnem na wszystko. co spotykają, konstatując tylko to, co gdzieś napisano i stwierdzając swojem — Yes...

Co do zdrowia obawy nie ma. Widziałem towarzyszów, których z .... gdy wysyłano, wnosili ich na wóz i z woza koledzy, tak byli bezwładni od bolów artrytycznych, a nim się dostali do Krasnojarska (to jest 5000 wiorst) aż nadto dokazywali.

LISTY
polskiego protestanta.

II.

Protestantyzm w znaczeniu ogólném, to jest, bez względu na wyznające go narodowości, dzieli się na protestantyzm luterski i kalwiński. Pierwsza nazwa pokazuje, iż jest to kierunek trzymający się zasad wypowiedzianych najprzód przez Lutra, drugi, zasad Kalwina. Jak tylko protestantyzm począł się szerzyć i z wyznania uciśnionego i prześladowanego stał się wyznaniem dozwoloném, co więcej, nawet zaraz z jego zaczątku okazała się nie odzowna i naturalna potrzeba sformułowania zasad wiary. Te sformułowane zasady wiary nazywają się księgami symbolicznemi, i jako takie uważane są w wyznaniu luterskiém: Konfesja augsburska (z r. 1530), Apologia konfesji (r.1531), Artykuły szmalkaldzkie (r. 1537), Mały i wielki katechizm Lutra (r. 1529.), Formuła concordii (r. 1577). Kalwini mają księgi symboliczne wedle krajów i miast, jak n. p. Confessio Gallica, Helvetica, Hungarica, Tetrapolitana, — prawie ogolne znaczenie zaś ma Katechizm Haidelberski (r. 1563.), a w Anglji: Trzydzieści dziewięć artykułów wiary (z r. 1562.) i *Book of common prayer*. W Polsce zyskały znaczenie symbolu uchwały synodu Sandomirskiego (*Consensus Sendomiriensis* r. 1570.), zniesione samowolnie przez smutnej pamięci króla Stanisława Poniatowskiego.

Pod względem wewnętrznego urządzenia zachodzą dwie ważne różnice w łonie protestantyzmu luterskiego, i kalwińskiego, to jest, że kościół kalwiński w państwowym kościele Anglji zachował hierarchie i ma arcybiskupów i biskupów, tak samo i w luterskim kościele państwowym w Szwecyi, gdzie indziej zaś, wszyscy pastorowie, bez względu na to, czy są Superintendentami, Seniorami i t. p. są zupełnie równi między sobą.

Roku 1817. król pruski Fryderyk Wilchelm III. wydał odezwę zachęcającą do połączenia luteranów z kalwinistami, a kiedy tenże król r. 1829. wydanej pod swojém kierownictwem Agendzie kościelnej nadał moc obowiązującą, powstał kościół Unji pruskiej, kościół, zacierający różnice jakie istnieją między wyznaniem luterskiem i kalwińskiem. Pastorów i zbory, które nie chciały przyjąć Agendy, prześladowano w Prusach nader surowo, i prześladowania te ustały dopiero w r. 1840. za króla Fryderyka Wilchelma IV., ci zaś którzy nieuznają Agendy ukonstytuowali się w Prusach r. 1841. jako niezawisły Kościół luterski i są przez przeciwników nazywani Staro luteranami.

Nader ważnym objawem wśród protestantyzmu luterskiego i kalwińskiego, jest tak zwany racjonalizm. Kierunek ten wyłonił się w Niemczech zaraz po pierwszej rewolucyi francuzkiej a główną jego zasadą jest: iż i w rzeczach wiary, roztrzyga tylko rozum ludzki. Zasada ta sprzeciwia się orzeczeniu wydanemu przez reformację i sformułowaniu w księgach symbolicznych Koscioła luterskiego i kalwińskiego, to jest: że w rzeczach wiary roztrzyga nie ludzkie rozumowanie, lecz jedynie Pismo święte, jako słowo Boże.

W ostatnim dziesiątku lat wyrodził się, także wśród Niemców, Protestantenverein. Kierownicy tego Vereinu, któremi są: Schenkel teolog, i Bluntschli, prawnik, profesorowie uniwersytetu haidelberskiego, i zwolennicy Vereinu twierdzą, że w rzeczach wiary, roztrzega tylko umiejętność!. Jest to więc poprawne wydanie racjonalizmu i przedstawia kierunek wrogi zasadom reformacji. Nadto Protestantenverein, jest dzieckiem myśli pangermańskiej. Chcąc albowiem złączyć luteranów i kalwinistów, zabierając pod széroki płaszcz swój i wszelkie sekty, wypowiadając jawnie, że na drodze umiejętności dadzą się usunąć wszelkie różnice wyznaniowe — zdąża do zjednoczenia Niemiec i pod względem religijnym. Każdy głębiej myślący musi poznać, iż tak dawny racjonalizm jak i obecny nowoprotestantyzm, prowadzi do indiferentyzmu.

Wśród polskiego ludu ewangelickiego, nigdy ani dawny ani nowoczesny racjonalizm nie mógł zapuścić korzeni. Jeżeli gdzie niegdzie znalazł się wyjątek, jeżeli człowiek pojedyńczy wyrzekł się zasad starej wiary ojców, wiary jak ją sformułowała reformacja, taki zawsze wyrzekał się i swej narodowości, przechodził do obozu niemieckiego lub kosmopolitycznego, a pod względem moralnym, zawsze prawie tacy renegaci upadają nader nisko.

Inaczej ma się rzecz z duchowieństwem ewangelickiego ludu polskiego. Duchowni uczeni, ponajwiększej części rodowici Niemcy, lub wychowani w niemieckich gimnazjach i uniwersytetach, chylą czoło przed wszystkiem co niemieckie, a niemieckie produkcje duchowe, bez względu na to, czy się wylęgły w mózgownicy Hegla czy Schenkla, są dla nich ideałami doskonałości. W Prusach wschodnich, ksiestwie Poznańskiém i na Szlązku są pastorowie powiększej części zwolennikami Unji pruskiej, w poczuciu, że Unia jest przedstawicielką przyszłej pangermanji. Nierównie sprawiedliwsi dla polskich ewangelików, są niemieccy pastorowie tak zwanego kierunku konfesyjnego, to jest, trzymającego się ksiąg symbolicznych.

Długo zagadką dla mnie było, jak się to stać mogło, że mimo racjonalizmu pastorów, polski lud ewangelicki pozostał prawowierny, to jest wytrwał w zasadach wypowiedzianych przez reformację? Rozwiązanie zagadki znalazłem gdy przebiegając różne prowincje dawnej Polski starałem się zajrzeć do chat wieśniaczych. Każdy ewangelik wieśniak polskiej narodowości, posiada Bibliję, stary kancjonał i kazania Dambrowskiego; trzy te książki, oto źródła, z których całe pokolenia mimo germanizatorskich zachcianek i niedowiarstwa pastorów, czerpały poczucie narodowe i czystą wiarę.

W końcu dodać jeszcze muszę; iż dostrzegłem, że wszyscy młodzi pastorowie, którzy są szczéremi narodowcami, są zawsze prawowiernemi a obecnie toczy się między niemi a racjonalistami czyli dzisiejszemi zwolenikami protestantyzmu zacięta walka. Walka ta, nie może być obojętną dla ogółu narodu, jest to albowiem nie tylko walka teologiczno-kościelna, ale walka w której idzie o ochronienie ludu od zdemoralizowania i zgermznizowania. Godzi się nad tém dobrze zastanowić, gdyż ciężenie Niemców na inne ludy polega nie tylko na anneksjach, ale i na krzewieniu idei właściwych naturze niemieckiej. Racjonalizm religijny i filozoficzny jest produkcją plemienia germańskiego, albo raczej, wyrażając się dobitniej, szczepią w ducha ludzkiego ową filozofującą spekulatywność niemiecką i germanizują duchowo.

Zwracamy jeszcze uwagę czytelników polskich na jedno. Błędem jest przypisywać protestantyzmowi ojcostwo ateizmu. Ateizm może powstać wśród wyznawców każdej religji, a jest tak stary, jak ród ludzki.

W przyszłym liście zamierzam powiedzieć kilka słów o nowoczesnej polskiej protestanckiej literaturze kośielnej. Dr. Marcin Mazur.

Nowe Książki.

Mowa księcia Władysława Czartoryskiego, miana w Paryżu, na obchodzie 3. Maja 1870. r. Paryż, w Bibliotece polskiej. 6. Quai d'Orléans. 1870. 8. 15 str.

Mamy nareszcie tekst autentyczny przemówienia tego, które jako głos pojedyńczego człowieka aż do zbytku podniesione zostało, komentowane i do pewnego stopnia za programm gabinetu nowego hr. Potockiego poczytywane bywa.

W istocie mowa ta tonem, treścią swą, formą wygląda na wyznanie wiary całego stronnictwa, którego książe Czartoryski chciał być wyrazem. Zastrzegając się od nadawania jej tego znaczenia, przeciwko któremu

z wielu stron wznoszą się protestacje, niedopuszczając też, aby w porozumieniu z hr. Potockim, jako zarys programmu gabinetu przyszłego, napisaną być miała i narzuconą księciu... nie możemy jej odmówić wagi i lekceważyć wygłoszonej w niej opinij.

Treść lub nawet całość powtórzyły dzienniki, z małemi wyjątkami protestowały wszystkie przeciwko śmiałemu orzekaniu przyszłości i zobowiązaniu w imieniu całego narodu jakby powziętemu... Głównemi punktami, które obudziły protesty, było zawyrokowanie stanowcze, iż losy Polski nierozłącznie są związane z losami państwa Austrjackiego, oparcie się formie federacyjnej, której książe nie chciał zrozumieć i uważa ją za niestosowną na dni dzisiejsze, naostatek groźna prawie postawa zajęta przeciwko Czechom, którym odmówiono tego do czego oni z praw swych historycznych dopominać się są upoważnieni i lekceważenie ich obok nadzwyczajnej wagi nadanéj z drugiej strony prawom korony Św. Szczepana.

Dla czegoby gorszemi i pośledniejszemi być miały prawa korony Św. Wacława, a Galicja i Czechy miały wyjątkowym sposobem pozyskać tylko koncesje, stawiające je w położeniu Kroacji? tego inaczej jak interesem wytłumaczyć trudno. Interes zaś Austryi, w zbytku może gorliwości o jej losy, fałszywie zda się być pojęty.

W głębi tych wszystkich kombinacij mniej więcej logicznie wyłożonych, tkwi idea jedna, omijana i niedotknięta jasno. Idzie tam widocznie o zadowolenie żywiołu niemieckiego i pozostawienie mu starych prerogatyw, liberalną konstytucją na nowożytny sposób przerobionych krojem dzisiejszym.

W konstytucji grudniowej z zupełnie ludzkiego stanowiska, dwie by można upatrzeć części: jedna nienaruszalną i poszanowania godną, wygłaszającą zasady liberalne, prawdy główne, na których byt nowy państwa i społeczeństwa ma się opierać; drugą ułomną, zdolną do reform i poprawy na drodze ustawodawczej.

Jeżeli Niemcom idzie w istocie o liberalne zasady, o rząd szczérze parlamentarny, o równouprawnienie a nie majoryzowanie i hegemoniją nad narodowościami, które za „kulturtüchtige“ nie uważają — powinni się oni zgodzić na zmiany konstytucji i częściową decentralizacją, któraby wszakże zogniskowania sił nie wyłączała. Forma nowa łatwo się da znaleść.

Nie idzie tu wszakże pono o równość, ale jak Dr. Zehlicke powiada w artykule swym o Galicji... o danie przewagi jednemu żywiołowi „eine culturtüchtige Nation das entschiedene Uebergewicht über alle andere Bruchtheile“... książe C. nie mówi tego wyraźnie, ale godzi się na tę przewagę niemiecką i węgierską państwową, zawarowując prawa narodowości; lęka się bowiem, ażeby Niemcy, nie mogąc panować, nie zapragnęli z federacji równouprawnionych odłamać się i przejść do związku południowych lub północnych, a w przyszłości zjednoczonych Niemiec.

W polityce zapewne chwilowe potrzeby doczesnemi środkami zaspokajane być muszą, ale to ustępstwo Słowian którzy nie są kulturtüchtig niezdolném jest zabezpieczyć przyszłości.

Niemiecki żywioł waży ku tym częściom, które silniej będą z germańskich jednostek spojone i prędzej lub później oderwać się musi.

Budując na przymierzu z nim w Austryji — nie na długo się da rachować... a oderwanie się nieprzejednanych czy by nie było dla Austryi hasłem do odrodzenia słowiańsko-polskiego a węgierskiego i federacji, któraby dzisiejsze polityczne granice zmienić w sposób naturze, sprawiedliwości i wymaganiom wieku odpowiedniejszy musiała?.

Ks. Czartoryski tém się tylko tłumaczy, iż jego programm nie zamyka w sobie przyszłości, owszém inną przepowiada... ale „dokonanie jej zostawić chce czasowi i naturalnemu rozwojwi wypadków“ — „gdy my może i wielu ideału“ spragnieni, zbliżyć chwilę jego urzeczywistnienia niecierpliwie byśmy pragnęli.

Ideałem naszym jest wielka monarchia federacyjna, mówi ks. Czartoryski, rozciągająca się od morza Czarnego do Baltyckiego i mieszcząca w sobie wszystkie te narody, które już raz w historyi w XV. wieku, połączone były pod jedną dynastją, zachowując każda swą niezawisłość. Taka federacja niezbędną jest dla wolności świata, aby Moskwę terytoryalnie oddzielić od Prus i zamknąć jej drogę do Stambułu.“ Pomimo pragnienia tej federacij, K. Czartoryski federację, mogącą ją przygotować państw dziś pod jednem berłem będących, odtrąca, z powodu (dla nas to niejasne i niedowiedzione wcale), że ją „gorąco popierają w Berlinie, że jest urzędownie protegowaną w Petersburgu (??) i co dnia wychwalaną przez prasę moskiewską, a nawet propagowaną w Bukareście i Serbii.“ Sprzeciwianie się federacji „dzisiaj“ aby ją zrealizować jutro i szukanie drogi do niej przez formy inne, należy do owych zagadek politycznych, o których rozwiązanie pokusić się trudno.

Również opozycja przeciwko zjednoczeniu z Czechami, pod pozorem, że oni żądają wszystkiego lub nic, i że mogą sprowadzić zgubę Austrji, tylko na korzyść silniejszych Węgier, wyłożyć się daje i jest poświęceniem zasady dla praktyki politycznej — jest utylitaryzmem, o który się dziś rozbijają wszyscy niby najrozumniejsi a w rzeczy płytko widzący politycy. Niemamy najmniejszego powołania do dyplomacji, ale dla nas ustępstwa z zasad równie w moralności jak w polityce wydają się błędem i winą, bez żadnego wyjątku. — Pozornie wieść mogą chwilowo do celu, w istocie sprawę psują, zaciemniają i mogą ją zwichnąć na długo. Prawa korony Św. Szczepana są tak dobre jak korony Św. Wacława i Św. Stanisława; lub wszystkie one wartości nie mają i na czém innem opierać się należy.

Dr. Omega.

System więzień poprawczych Irlandzkich przez Andrzeja hr. Zamojskiego. Lwów. Nakładem kuratorij literac. Zakł. Im. Ossolińskich 1870. r. XXX. str. i 635. (Cena 2 złr. w. a.)

O dziele tém ważném już treścią samą, a napisaném przez człowieka, którego imie ściągnąć winno uwagę ogółu, bo jest związaném z historją kraju polskiego dni ostatnich, i uosabia niejako ideę, którą żyło królestwo aż do wypadków 1863. roku — nieznaleźliśmy dotąd nigdzie, choćby nieco obszerniejszej wzmianki, gdy na rozbiór i sprawozdanie tak bardzo zasługuje.

I rzecz i autor obojętnemi nam być nie mogą. Fakt to godzien istotnie głębokiego zastanowienia i poszanowania, ta niezmożona chęć służenia krajowi i ludziom w duszach ubłogosławionych a namaszczonych ku wyższym celom. — Któż nie zna imienia czcigodnego hr. Andrzeja Zamojskiego, tego kierownika i przewódcy pracy organicznej, swojego czasu moralnie panującego królestwu i obszarom ziem polskich, twórcy Towarzystwa rolniczego, w którém się skupiało życie i działalność najprzedniejszej części obywalelstwa.?

Ani straty doznane, ani najdziwniej w świecie umotywowane wygnanie przymusowe, ani wiek i znużenie, ani zwątpienie ogarniające słabsze duchy — nie potrafiły zacnego męża zrazić od dalszego trudu na polu zadań społecznych. —

Owocem ich jest właśnie ta książka obszerna, zawierająca obfity materjał dla ludzi myślących, ku badaniu jednego z najważniejszych przedmiotów tyczących człowieka — środków moralizowania, poprawy i przekształcenia szkodliwych społeczeństwu istot na pożyteczne jego członki.

W chwili gdy to piszemy, parlament niemiecki pono większością głosów utrzymał zachowanie w kodeksie przestarzałym kary śmierci za zabójstwo i przestępstwo polityczne, a zatém zasady ząb za ząb przeciw nowej zasadzie, która karę w duchu chrześciańskim zmienia na — poprawę. — Powiedziano to stokroć już a powtórzyć nie zawadzi nigdy, iż społeczność w winie jednostek ma udział pewien, bo brak światła rodzi mnogość przestępstw, a kto nie oświecił, ten zawinił popychając do złego. Społeczność więc ma święty obowiązek, wynagradzając niedopełnienie tego co na niej leży — zająć się na nowo, można rzec, wychowaniem powtórném człowieka występnego. Oddzielić go od społeczeństwa, któremu szkodzi, jest musem, ale opuścić go było by grzechem. Więzienie stać się powinno szkołą.

Na tej zasadzie prawo karne nowszych czasów, całe się opiera lub polegać przynajmniej powinno.

Jakich środków ma użyć społeczność przez rząd tu reprezentowana, ku poprawie człowieka, jak zbadać skutek swego działania, jak sobie postąpić z odzyskanym grzesznikiem, z powracającą do trzódki obłąkaną owieczką, tego żadna teorya nauczyć nie może, tego tylko uczy mozolne i miłością chrześciańską natchnione doświadczenie, zbiór faktów, któreby wskazały jak lekarz ma z chorym postępować.

Celem całej tej pracy hr. Zamojskiego jest przyswojenie nam, doświadczenia tych krajów, które na drodze poprawczej uczyniły już najwięcéj. Praca to jak inne pana Andrzeja, skromna a pożyteczna wielce, poważna a sumienna, godna czytania bo do myślenia pobudzająca. Dla wszystkich wstęp i rzecz sama będą wielce pożądanemi, ale pierwszy zwłaszcza ma urok wielki, bo w swej niezrównanej prostocie maluje nam człowieka i zapisuje zajmujące szczegóły z żywota mało jeszcze znanego... Nie ledwie cały ten ustęp chciałoby się przepisywać tak mile się czyta, to opowiadanie, mimowolnie zdradzające życie pożytecznej poświęcone pracy...

Hr. Andrzej Zamojski nadmienia tu, że w r. 1826. po dwuletniej służbie powierzonym miał sobie wydział przemysłu w K. S. Wewnętrznych i że go naówczas hr. Skarbek były profesor prosił, aby mu ułatwił wnijście do służby rządowej. — Przez niego to polecony hr. Mostowskiemu Skarbek otrzymał wezwanie do objechania europejskich więzień i szpitali. Tym czasem hr. Andrzej badał więzienia krajowe i zdawał z ich stanu sprawę ministrowi.

„Znajomość moja z więźniami, pisze dalej, nabawiła mnie szczególnego spotkania. Było to ile pamiętam, pierwszych dni Listopada 1830. r. Mieszkałem u rodziców, na dole, okna na ulicę Senatorską, pracowałem jeszcze tej nocy nad projektem ówczesnym mostu w Warszawie. Około drugiej czy trzeciej po północy słyszałem jęki wyraźnie z ulicy dochodzące, otworzyłem szybę i zapytałem co by to było? — Biedak, co go pan znasz, puść mnie pan do siebie. — Nie mogę, odrzekłem, bo krata od dziedzińca zamknięta, ale pójdź do kraty, ja tam przyjdę. — Gdy mnie zobaczył, padł na ziemię i przez kraty za nogi mnie chwytał, głośno szlochając. — Któż ty jesteś i co ci idzie? zapytałem — Kajdaniarz biedny. — Cóżeś, uciekł z więzienia? Nie, wypuścili mnie, dwa dni nic nie jadłem, dokąd się udałem po robotę, kijem mnie wypędzono; — co mam robić, ratuj mnie pan... jak jutro nie będę miał co gryźć, to będę kradł. — „Dałem mu nieco pieniędzy, aby nie kradł i miał czas do wynalezienia uczciwego zarobku, ale wróciwszy do pokoju, surowo się zastanowiłem nad tą sprawą, której jeszcze nie byłem zbadał... Myślałem sobie, kosztowne gmachy stawiamy ma więzienia, oświaty nie tylko skąpo takim biedakom w ogóle udzielamy, ale i w więzieniach mało albo w cale o tém się nie pamięta, mało nawet o pomocy religijnej. A nareszcie więzień karę wycierpiawszy rzucony na bruk bez opieki! — Kara wszakże nie powinna być zemstą — ale karą na poprawę.“

Święte słowa i myśl, która jest dziś przewodnią myślą wieku, obala ona cały system karny, zasadzony w prawie pierwotném Mojrzeszowém na odwecie i zemście, potem na karze dla postrachu, naostatek dziś na — poprawie i nowém wychowaniu moralném człowieka. Kara jest atrybucją Bożą, miłosierdzie sprawą człowieka. Społeczność się broni, oddziela zło ale wierzy w to, że niema człowieka, któryby poprawionym być niemógł — chyba by był obłąkanym i fizycznie okaleczonym a przez to na duchu niemocen. — Dalej opowiada szanowny autor, jak po r. 1831. osiadłszy na wsi, około rolnictwa pracował, wziął się do gospodarstwa, do Redakcji Roczników G. K. do żeglugi parowej, potém wezwany do Towarzystma Kredytowego — zarzucić musiał przedsiewzięte badania, aż do r. 1856. W tym roku na kongresie ekonomicznym i dobroczynnym w Brukselli powrócił do nich i pojechał do Anglii dla zbadania kwestji

poprawczej w latach 1860. i 1861., nie przestając odtąd zwracać na nią pilnej uwagi.

Jest to historja obszernej pracy hr. Andrzeja Zamojskiego, która się składa z nader zajmującego wstępu, artykułu p. Laboulayc o systemie irlandzkim i badaniach nad nim Van der Bruggen'a, i z pięciu części obejmujących niezmierną ilość faktów i postrzeżeń tyczących się przedmiotu. — Część I. Systemy poprawcze i deportacja. Część II. Ósme sprawozdanie dyrektorów więzień poprawczych irlandzkich. Część III. Wyjątki z rozpraw Kongresu „nauk społecznych." Część IV. Treść rozmyślań o systemie poprawczym irladzkim barona Holtzendorf. Część V. Postrzeżenia o tym systemie czterech sędziów angielskich. Podobało się autorowi we wstępie nazwać swą pracę kompilacją, ale mu podyktowała skromność to niewłaściwe określenie; zbiór bowiem rozlicznych materjałów logicznie związany w jedną całość jest zupełnie innej wagi i znaczenia. Jesteśmy pewni że kompetentni sędziowie uznają zasługę hr. Zamojskiego, tak jak każdy w tej księdze wyczyta wielkie a szlachetne jego serce, które życiem i pracami kierowało. Dr. Omega.

Rozmaitości.

— Niewielu cudzoziemcom przebywającym nawet dłuższy czas w Dreźnie, wiadomém jest istnienie i wysoka wartość tutejszego Muzeum historycznego. Galerja obrazów, Zielony sklep, niektóre inne zbiory są powszechnie odwiedzane, najmniej podobno Muzeum historyczne, pełne jednakże sprzętów, broni, wyrobów, zabytków, które i dla Polski interes mają, bo u nas też używanemi były lub nawet z kraju tego pochodzą. Muzeum historyczne dotąd nie było łatwo przystępném, należało opatrzeć się w pozwolenie, zbierać po kilka osób i opłacać za wnijście. Wszystkie te warunki rząd troskliwy o postęp sztuk i przemysłu znacznie ułatwił i przystęp uczynił każdemu możliwym. Urządzono je na nowo i nikomu nie broni się notować, rysować, szkicować i studjować. Spodziewamy się, że z tych bogatych zbiorów, szczególniej broni, mebli, zegarów, stolarskich wyrobów, sprzętów średniowiecznych, korzystać nieomieszkają nasi artyści i amatorowie w Dreźnie przebywający.

— Nowa powieść Disralego — Lotharjusz, ma wielkie w Anglij powodzenie. Wyszła ona nakładem autora, chociaż ofiarowano mu za nią 16,000 funtów.

— Z przyjemnością przychodzi nam zawsze zwrócić uwagę ogółu na utalentowanych artystów naszych kształcących się i odznaczających za granicą. Do tych należy młody, wiele obiecujący fortepianista P. Danysz w Berlinie, który się dał poznać jako miły i pełen uczucia kompozytor. Kilka jego nowych utworów, mianowicie Walce w rodzaju Chopina, którego P. Danysz jest wielkim wielbicielem, zyskały ocenienie przychylne na jakie zasługiwały. Znajdujemy o nich artykuł w Berliner Musik Zeitung. Echo, N. 18. z d. 4. Maja P. Danysz jest dyrektorem polskiego Towarzystwa Śpiewu w Berlinie.

— W tej chwili świeżo z pod prasy wychodzący odebraliśmy Tom pierwszy Korespondencij Adama Mickiewicza, wydany przez syna Władysława. Wielkiej to dla nas wartości i niezmiernego interesu książka, której zalecać nie potrzeba. — Pomówiemy o niej obszerniej. Tom ten oprócz listów, do kilkudziesieciu osób, zawiera przemówienia, adres do Napoleona III. i bibliografią wydań dzieł Mickiewicza. Tom drugi zawierać ma listy różnych osób do Adama pisane, a tom trzeci, może najciekawszy, listy jego do Towiańskiego. Nie wątpiemy, iż wszystko to obudzić musi zajęcie nie samych tylko literatów i uczonych, ale szerszego czytelników koła. Tom ten zdobi rycina posągu Adama i fac-simila dwóch listów (około 400 str. druku w ósemce.)

— Pod tytułem: **Les faussaires polonais.** — Protestation avec prière d'insertion intégrale on partielle dans tous les journaux écrits en français — (Paris. 8. 16.) wydał generał Mierosławski, naczelny wódz stowarzyszenia demokracji polskiej, wraz z kilką akolitami, rodzaj odezwy, wypierającej się wszelkiego wspólnictwa z fałszerzami rosyjskich banknotów. Dla Francuzów cała ta historja, w której nie obeszło się bez potwarzy i obluzgania błotem wszystkich przeciwników Mierosławskiego, może być całkiem niezrozumiałą. Nie tyle szło o protestacje przeciwko czynowi potępianemu przez wszystkich uczciwych ludzi, (zobacz list hr. Platera w tym samym przedmiocie) jak o wyłajanie tych co niedopuścili naczelnemu wodzowi demokracji, przewodzić w powstaniu 1863. r. Znany jest styl i wymowa autora. Wśród patetycznych i sarkastycznych wykrzyków — jedno wszakże jest tu trafne postrzeżenie, iż wpływowi wychowania moskiewskiego winniśmy zatarcie w młodszém pokoleniu uczucia godności narodowej i moralności, pojęcia tego co godziwe a co potępione zawsze i wszędzie, nawet przeciwko nieprzyjacielowi. Są oręże, których Polak szanujący siebie i ojczyznę swą nieużyje — nigdy.



W. JMks. D. w Bruxelli. — Spieszym odpowiedzieć, iż z największą chęcią pośrednictwo nasze do składki dla JMks. adm. Sosnowskiego ofiarujemy i kwotę jaką nam zechcecie przesłać z Belgij, wraz z innemi wyprawiemy. Dotąd zapisane ofiary są:

Korespondenta Soborowego 10 franków.
Redakcij Tygodnia złp. 25.
Kapłanów polskich w Belgij (kwota nieoznaczona).
W. Feliks Sosnowski, właściciel dóbr ze Strzydzowa talarów 10.
Dalsze ofiary ogłaszać będziemy, jeśli nadejdą.

Dr. R. w Berlinie. Życzenie pańskie zostało spełnione.

P. R. w Rymanowie. Numer zgubiony wysyłamy.

Do

Szanownych Rodaków!

Odezwa.

Kto całe swe życie cichej a mozolnej poświęcił pracy, kto miłością kraju powodowany, nad świetne widoki materjalne przeniósł dobro swych Ziomków i im swe zdolności i wiedzę złożył w ofierze, kto z tej przyczyny do schyłku dni swoich z twardą musiał walczyć rzeczywistością, ten po śmierci przynajmniej powinien znaleść uznanie Narodu, do którego należał, dla którego pracował. Takim mężem był znakomity orientalista, profesor Uniwersytetu Berlińskiego, ś. p. Dr. **Pietraszewski**, a jednak mogiły jego na obcej ziemi nie zdobi dotychczas żaden znak wdzięczności Ziomków.

Przejęci więc myślą wystawienia choć skromnego nagrobka zgasłemu mężowi, zawiązali się w Komitet niżej podpisani i wzywają wszystkich Polaków, którzy prawy charakter i zasługę cenić umieją, do udziału w tém tak usprawiedliwioném przedsięwzięciu.

W miarę zebranego funduszu położy się *kamień grobowy z stosownym napisem*, a rachunek będzie Publiczności zdany.

Wszelkie datki na ten cel upraszamy odsyłać do Berlina na ręce **Karola Forstera**, Leipziger-Strasse, 24.

Złożyli zaraz na ten cel: Posłowie pp. Jackowski, Buchowski, major Radkiewicz, Pilaski, po 1. talarze, K.... 15 srgr. oraz Karol Forster 15 srgr., pp. N. N. 1 tal. i akademicy: Morawski, Hułewicz, Korytowski po 15 srgr. — razem dotąd 7 tal. 15 srgr.

(Dodatek.)

Dodatek do TYGODNIA Nr. 23. z d. 5. Czerwca 1870.

KOCHAJMY SIĘ.

OBRAZKI Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Tak! ideałem! to jest istotą, której się nie odważysz dotknąć, bo czujesz żeby ci się w proch rozsypała — smutnie dodała Celina, której oko łzą zaszło. Tak — przed kilkunastą dniami miałabym siłę odpowiedzieć ci — nie! nie puszczę... moim być musisz — nie lękam się próby życia — dziś — dziś złamana, zwątpiała — mówię ci — bądź wolny, bądź szczęśliwy. Zapomnij — przebacz!...

Podała mu rękę drżącą; Beppo ją wstrzymał.

— Pani, zostań dla mnie aniołem pociechy... pozwól pisać, myśleć, obracać się ku sobie — całe życie!

— Mój Beppo — szepnęła Celina... nie ty mnie, ja ciebie o to prosić powinnam. W twojem życiu jedną dziewczynę biedną zastąpi tysiące wrażeń, zajęć, myśli wielkich i uczuć potężnych, w mojém... ty zostaniesz na wieki jedynym... na wieki!

Wyrzekła to z czułością, ze wzruszeniem, a jednak — gdyby kto był wejrzał w głębiny serca, pod smutkiem, współczuciem, żalem, znalazłby był może niewytłomaczoną iskrę pociechy z odzyskanej swobody. Celina czuła, że wyrzekając się walk, które ją czekały — stawała się swobodniejszą... że.... Sama może nie wiedziała dla czego tchnęła wolniej.

A on —? dopełnił obowiązku, ale ścisnęło mu się serce, szedł zimny, został w miejscu po jej odejściu jak wkuty w marmurową posadzkę... oniemiały — struty.... Mężnie dokonał ofiary, ale mu było boleśnie, że ona tak jakoś łatwo, tak prawie chętnie przyjętą została. Uczuł się znowu sam jeden, sierocy, opuszczonym, zapomnianym — odrzuconym, czoło pofałdowało się, oczy zaszły suchą łzą, najstraszniejszą z łez, która boli a wytrysnąć nie może. Podniósł głowę machinalnie, oczy jego padły na olbrzymi posąg, przed którym niewiedząc gdzie stał zatrzymał się z Cecylją. — Wyobrażał on jednego z tych jeńców — barbarzyńców ze związanemi rękami, z krótko postrzyżoną głową, z dzikim twarzy wyrazem, — którzy u posągu tryumfatora stali na świadectwo jego zwycięztwa.... Mimo woli ta twarz i ta postać przybrała dlań podobieństwo do niego samego. Te spętane ręce, to znękanie nieme, ten wyraz rozpaczy skamieniałej przedstawił mu własny los jego.... I on należał do tej klasy społecznej, którą pogańscy tryumfatorowie wiecznie chcieliby widzieć skutemi, bezwładnemi, posłusznemi....

Pomiędzy tym posągiem a tym człowiekiem, świéciła wszakże na niebie gwiazda, zwiastująca przyjście Wybawiciela narodów, ale naukę jego świętokradzko obrócić umiano na ukucie nowego ogniwa łańcucha. Od tych czasów pogańskich nic się nie zmieniło, oprócz imienia Bożego... ten sam świat pozostał z tryumfatorami na złotych wozach i z gniewném *Vae victis!* rozlegającemi się, mimo że nad niém świecił znak odkupienia — krzyż!!! Ten co się wychował w domku ubogim pracowitego cieśli... był dziś sprzymierzeńcem nie ubogich braci ale potężnych, co imie jego wypisali na swej chorągwi — *In hoc signo vinces!* Zwyciężono tym znakiem — ale ten znak nie zwyciężył jeszcze....

Czując na swych rękach te sznury co krępowały dłonie posągu — powlókł się Beppo w stronę przeciwną, aby się już z towarzystwem obchodzącém Muzeum nie spotkać.

Nie widział on, że za nim niepostrzeżony kroczył staruszek, który nie słyszał nic wprawdzie, ale się wszystkiego domyślił, patrząc tylko zdaleka na rozmowę. — Zamyślony artysta usłyszał za sobą kroki... odwrócił się i postrzegł Tatka.

— Cóż to ty tak od nas uciekasz? spytał stary... widzę na twarzy żałobę, czyś się wykuł z niepotrzebnych więzów, ktorych żałujesz....

— A! nie — żywo począł Czarny, niechcąc nie dać poznać po sobie — idę szukając myśli i gubię się w tym lesie arcydzieł....

— Ja zaś gonię za tobą właśnie z myślą... dodał Tatko — my tu nie mamy tak dalece co robić... wyjdźmy razem, przejdziemy się chwilę pod kolumnadą Berniniego, słuchając szmeru fontann... modlących się przed kościołem... powiem ci myśl moją.... Jest w niej obraz Kaulbachowski, który się stać może arcydziełem. Noszę się z nim od dawna, alem go chował karmiąc w duszy dla ciebie... na godzinę zwątpienia, jako lekarstwo przeciw znużeniu życia.... Jeśli myśl moja nie podźwignie cię, jeśli jej nie pochwycisz... jeśli ją nie wcielisz... a! to chyba nie jesteś artystą....

— Na Boga! co to być może! zawołał niedowierzająco Beppo — chodźmy, jestem ciekawy....

Powoli przeszli korytarze i wschody i jak chciał starzec, znaleźli się, minąwszy szwajcarów stojących na straży w swych malowniczych średniowiecznych strojach, w krużgankach okalających plac przed świątynią. Byli sami.... Słońce w tysiące brylantów zmieniało krople spadające z wodotrysków... ale w galerji było chłodno i cienisto.

Tatko stanął i mówić zaczął wpatrując się w malarza.

— Jeśli sądzisz, że ci podam przedmiot jakiś ogólny i ogólnikowy, ludzki a nie polski to się mylisz.... Polski artysta całą ludzkość musi w tym jej widzieć złomku, który jest jego ojczyzną....

Z jej dziejów obraz ten być musi.... Słuchaj mnie....

U dołu ziemia czarna mrokami pokryta... świeżych kilka mogił na przedzie, złamany krzyż stary świeci żółtém drzewem poszarpaném... w dali ruiny kościołów, dworów, chat i krajobraz płaski, okolony szumiącemi borami.... Z jednej ze świeżych mogił stérczy nie przysypana trupia ręka w pięść ściśnięta wyciągniona ku niebu.... Obok żółty trup nagi, odarty, z piersią na której krew zaschła czarna. To pierwszy plan i ciemny dół obrazu....

Z dymów i wyziewów tej ziemi unosi się obłok szary ku górze i co raz bielszym się staje, podnosząc w niebiosa.... Na tej chmurze — obłoku, blade jak on stoją w półkole cienie wszystkich starej Polski bohaterów.... Mieczysław I. z krzyżem i workiem zboża, bo go dawniej malowano jako siewacza wiary... stoją w zbroje pookuwane Bolesławy... wszyscy, wszyscy aż do ostatniego, u którego nóg strzaskana leży korona.... Ten się kryje za innemi z pętem na nodze....

Wystaw sobie ten duchów rozbolałych sejm niebieski nad tą ziemią czarną, czerwoną, spaloną i okrwawioną — tych bohaterów i tych nieszczęśliwych — którym brzemię ojczyzny zginało słabe ramiona... te postacie z chorągwiami, z mieczami, z posępnemi czoły, płaczące nad tą ojczyzną zgubioną, a wśród nich Jadwigi i Ludwiki... i Wandy i wodzów o smutnych, pokaleczonych obliczach i świętych i... o! cała przeszłość Polski skupiona, jak Kaulbach skupił w powietrzu ową bitwę Hunnów... ale nie! tam jest wściekłość — tu kamienna cisza wśród tych widm seciny....

Jeszcze wyżej obłok przerwany, a na niebiesiech Chrystus w jasności i u nóg jego Matka, królowa tej Polski, błagająca za nią....

Starzec, który mówiąc to zapalił się i zarumienił — nagle przerwał mowę, umilkł, spojrzał — po twarzy Beppa, który go słuchał, ciekła łza gorąca... a ręka artysty szukała starca dłoni z niemą podzięką....

— Ale któż taki obraz wykona! nań trzeba całą przeszłość zebrać... nad każdą postacią modlić się jak Fra-Angelico, aby ci się objawiła we śnie. W taki obraz można włożyć życie całe....

— A dlaczegożby weń nie włożyć życia całego? zawołał starzec....

Mylisz się tylko mój drogi Beppo, studja by były ogromne,

to prawda — ale od czegoż natchnienie — poczęła by praca — ogień by rozpłonął i dokonał reszty.... Gdybym ja był artystą — dodał, ach, zamknąłbym się z płótnem, z księgami, z modlitwą, z gorączką i niewyszedłbym, aż by ów olbrzymi karton był gotowy. A potem stworzywszy arcydzieło, poszedłbym z niém pielgrzymować po Europie... i pokazywać go wszystkim ostygłym trupom, aby płakali i sromali się!...

Beppo zadumany stał.

— Nie — zawołał — to myśl za olbrzymia, nie czuję w sobie siły....

— Słyszałeś ty tę przypowieść, spytał stary, o człowieku co począł nosić małego nowonarodzonego byczka co dzień na ręku... a gdy ten dorósł na byka olbrzymiego, siłę swą zmógł tak, iż onego wołu dźwigał!!! Tak jest z przedmiotem w artyście... pocznij maleńką myśl co dzień w sobie nosić, z miłością pieść ją na rękach, a gdy w olbrzymią wyrośnie potrafisz jej podołać....

To mówiąc starzec, jak ów co ziarno rzucił, ścisnął dłoń Beppa i wysunął się wracając na wschody i do Muzeum. Czarny z pomysłem poszedł jak opojony. — Nawet owa rozpacz, przed chwilą doznana, była dlań dźwignią, co podniosła zapał i natchnienie.... Puścił się przez most niepatrząc, niewidząc nic, prosto do domu....

Niezmordowany starzec odetchnąwszy ledwie na wschodach, powrócił do Muzeum. Ale tu już rozproszonego towarzystwa nie znalazł, — nawet nowy przybysz Wacio, śmiało przylgnął do towarzystwa pani Elizy i z nią, nietchórząc wcale, poszedł w pierwsze odwiedziny na via Condotti.

Hr. Roman przystał do hrabinej, której towarzyszyła hrabianka Dorota... a przy pannie Celinie zastępował jak mógł zniknego artystę.

Przeszedłszy sale dosyć już puste, Tatko nie chciał już szukać zbiegłych ziomków, gdy we drzwiach wychodzącemu nastręczył się zbłąkany Ukrainiec. Niemogąc długo wytrzymać bez cygara, wyszedł był na chwilę tylko, a gdy wrócił już nikogo nie znalazł i kręcił się gniewny na siebie, znudzony, niewiedząc gdzie szukać zbiegów.

— Chwała Bogu, że choć pana znalazłem, bo tu w tym labiryncie człowiek się gubi! Czy już wszyscy się porozchodzili? zapytał pan Mieczysław.

— Ale ja właśnie jestem w témże co pan położeniu — odezwał się Tatko — i pytam pana gdzie się nasze towarzystwo podziewa?

— Jakto? pan z niemi nie był?

— Nie — na chwilę odszedłem.

— A! no! to pewnie do domu wrócić musieli, i przyznam się panu, że się temu nie dziwię — mówił Ukrainiec. — Wszystko to bardzo piękne, słowa niema, ale ja z posągami gadać nie umiem... i w końcu ta sztuka, sztuka... sztuka mnie nudzi, mam jej póty!

Stary się rozśmiał.

— Śmiej się pan, ja jestem sobie człek prosty, piękne rzeczy lubię... jednakże w końcu tyle tu tego jest, że trzebaby życie strawić na admiracji... a ja wolę je na co innego obrócić. Wysechłbym na szczepę....

— A jednak przyszedłeś? rzekł stary.

— Ale ba! że nie dla pięknych oczów tych posągów, które oczów nie mają i zdają się wszystkie uśpione lub pomarłe — to pewna.

— Więc dla innych oczu?

— Może! westchnął Ukrainiec.

— Czy to tajemnica stanu?

— Broń Boże — ja nie mam tajemnic, i gdybym je uchowaj Boże miał, poszedłbym się z nich tak spowiadać, jak z uszów Midaszowych... nie wytrzymałbym.

— Więc to oczy pani Elizy?...

— Ale nie! odparł Ukrainiec — ja się ich boję jak ognia. A po co mi to! Ślicznie dziękuję....

— Więc panna Fanny?

— Nie pamiętam jak jej oczy wyglądają.

— Cóż? chyba hrabianki Doroty?

Ukrainiec począł się śmiać serdecznie; — spojrzał na Tatka....

— Kochałżebyś się w pannie Celinie?

— Kochał...? no! może jeszcze nie — ale nie przeczę że mi się podoba. Co pan na to?

— Ja, nic... podziwiam tylko dobry gust i — odwagę — wybrałeś sobie — nieprzyjacielu sztuki — artystkę? — gdzie logika?

— A któreż serce ma logikę? spytał Ukrainiec wzdychając... i czy w naturze ciepłe nie szuka zimnego, a zimne ciepłego? choć to może nie logicznie... hę?

Tatko się znowu uśmiechnął.

— Co pan na to? — powtórzył Ukrainiec.

— No, nic, życzę szczęścia tylko....

— Prawda, że to do niczego niepodobne — dodał Micio — ale ja jestem cierpliwy, niewymagający i nie napastliwy. Uda się? dobrze — nie — żal mi będzie, ale nie umrę. — A dalibóg panna Celina byłaby szczęśliwą.

Tatko nic nie odpowiedział.

Ukrainiec raz rozgadawszy się, nie mógł już ust zamknąć począł mówić o sobie, o swych wioskach, o domu który postawił, o majątku... o spodziewanych sukcesijach.

— Ej, Tatku serdeczny — dokończył — gdybyś ty, co masz wszędzie głos, chciał za mną hrabinie słówko powiedzieć, a pannie Celinie dwa?

— Ja? ja? rzekł Tatko — ale mój drogi panie Mieczysławie — ja nigdy nie swatam.

— A zawsze mówisz o miłości....

— I kochać się namawiam gorąco. —

— A potém?

— No — kochać się.

— Ale dalej?

— Dalej niema nic — *l'art pour l'art.*

Pan Mieczysław spojrzał mu w oczy.

— Żartujesz pan?

— Nigdy....

— No — to już chyba ja sam poczekawszy, — się oświadczę.

— Tak! — dobrze — poczekawszy, poczekawszy!! zakończył stary i z tém się rozstali.

Jeśli komu to Waciowi, który o sobie nie wątpił, powiodło się nader szczęśliwie. Wesołość, dowcip, młodzieńcza wiara z jaką się rzucał w świat, lekceważenie niebezpieczeństw, — zwróciły nań uwagę; śmiałość pomogła mu u pań... dobry humor u mężczyzn.

Szczególniej pani Eliza po smętnym poecie znajdowała Wacia przedziwnym. Prawo kontrastów dodawało mu ceny. Staś patrzał nań zdumiony, dla niego także miał on pewien urok, a przecież ten wieczny uśmiech, ten sarkazm bezustanny męczył go. Pod śmiechem nie widać było głębi duszy, jak w kłębiących się dymach nie dojrzeć głębin krateru Wezuwijusza....

Następnych dni nakarmił się do syta Waciem, bo go o wszystkich niemal godzinach spotykał u pani Elizy. Stosunek jego z nią, który ściślej związała wdzięczność dla siostry miłosierdzia, był jak najczulszy. Staś zwał ją Beatrysą swoją — przysięgli sobie platoniczną miłość niebiańską po sto razy. Zwali się siostrą i bratem. — Tatko byłby się mógł serdecznie cieszyć, słuchając ich rozmów... gdyby na usteczkach różowych pani Elizy nie dojrzał czasem przelatującego sarkazmu, czasem nerwowego drgnienia, któreby ktoś złośliwy za poziewanie mógł wziąć nieopatrznie.

W istocie pani Eliza doprowadziwszy poetę do płomienistej miłości, skosztowawszy tej słodyczy poetycznego kochania, przetykanego złotemi poezji nićmi, wyczerpawszy wszystkie wzruszenia, jakie ono dać mogło, była już odrobineczkę znudzoną....

Staś kochał się po młodzieńczemu z wiarą, że ideał spadł mu z niebios w objęcia. Gdy czasem ta istota niebiańska ozwała się z czémś ziemskiém, pospolitém, cudów sofisty dokazywał, aby z tych słów ułomnych wydobyć znaczenie jakieś mystyczne, niezwyczajne, szczytne! — Twarz ta prześliczna była dlań jakby kroplą rosy, w której się niebo przegląda, widział w niej wszystko... świat... światy... ledwie nie Boga....

Miłość jego była istnie poetyczną, spokojną, czystą,...

pełną dziecinnych uciech, radości dziecinnych pełną, wszystkie po stokroć wyśmiewane zeschłych bukietów i podartych rękawiczek uroki dla niego były czémś świeżém, nowém, uszczęśliwiającem. . . . W duchu Eliza sobie mówiła — *Est-il naif? est-il adorable!* a czasem po cichu — *Est'il drôle?*

W tej chwili sceptycyzmu miłości, który poczynał się wkradać w serce kobiety, gdy Staś jeszcze był w potęgującej się coraz ekstazie — zjawił się Wacio i od razu — jako bardzo zabawny i interesujący młody człowiek, został ulubieńcem pani.

W początkach poeta słuchał, znosił, uśmiechał się, znajdował go dowcipnym nawet, ale w końcu spotykając go nieustannie między sobą a nią — widząc błyski oczów pewne, trochę zalotności niepojętej, doznał jakby trwogi. . . . Dreszcze przebiegły po nim. Czekał aż się Wacio oddali, aby spytać pani Elizy co ta fantazja znaczyć miała, aby się z nią trochę pokłócić. Z trudnością przyszło mu osobną otrzymać audjencję . . . ale nareście ją wyrobił.

Na pierwsze słowo o malarzu, pani Eliza wybuchnęła gniewem. . . . Pomiędzy niemi nie było dotąd ani cienia sprzeczki, ani podobieństwa niezgody, ani zazdrości cienia. . . . Staś osłupiał. Wydawało mu się to wielce naturalném, bo jakże śmiał tak świętą posądzić nawet istotę.

Padł na kolana. Skończyło się to najczulszém przejednaniem, ale burza warczała długo, nauka dana, trwała przeciągnięta niezmiernie. — Leliwa wyszedł po tej scenie uspokojony na pozór a instynktowo smutny jak grób.

Potrzebował pociechy . . . powlókł się machinalnie do hrabinej, znalazł Cesię w kątku osamotnioną, skorzystał z tego i począł rozmowę.

Panna Celina doskonale go słuchała. Nie mówił jej naturalnie o swém sercu, ani o swém smutku, który był jego tajemnicą . . . ale pilno mu było zapytać co ona sądzi o tym nieznośnym Wacku?

Pannie Celinie był on już jak jemu antypatycznym. Ta zgodność sądów zbliżyła ich do siebie. . . . Powiernica była tak miłą, łagodną, sympatyczną. Staś wprawdzie serce miał pełne, pełniuteczkie, ale dla przyjaźni został w niém niezajęty kątek; czemużby nie miał zostać jej przyjacielem?

Panna Celina marzyła wcale o czém inném . . . i mówiła sobie, byle ode mnie nie uciekał . . . dusze się nasze porozumieją, uczuje jak go kocham . . . o! będzie moim!!! Ona także miała tę wiarę młodości, która się największej, najcięższej walki nie lęka. . . . Staś był biedny, zmęczony, trochę chory, przy niej było mu spokojnie, miło, ale serce nie drgnęło nawet na te dwuznaczne słówka, które kobiety tak zręcznie rzucać umieją. . . . Leliwa nigdy nie celował w grze volanta.

Czas biegł piorunem, dnie ledwie rozpoczęte kończyły się niepochwycone.

Na pozór w stosunkach towarzystwa nic się nie zmieniało, ale w istocie w głębi jego i serc zaszły zmiany stanowcze. Staś chodził zawsze do pani Elizy, deklamował, wzdychał, pytał jej o zagadkę Rzymu i zagadkę człowieka . . . o wiekuistej tęsknicy tajemnicę . . . ale coraz rzadziej zastawał ją samą. Wielekroć nawet musiał ją gonić, bo wyszła była z malarzem gdzieś, jakiś obraz oglądać, a Staś odbierał burę i jego okazywała się wina, że się go doczekać nie było można. Nieszczęśliwy poczuł wreście nadzwyczajną zmianę humoru i usposobień dla siebie pani Elizy . . . ale winę przypisywał sobie tylko.

Ze smutku jego korzystała Cesia. . . . Hr. Roman był za to pochmurny i kwaśny, Ukrainiec ponury i milczący.

Wacek, który przybył do Rzymu aby się uczyć, — bawił się doskonale, studja zostały odłożone do ukończenia ferjów, a ferje trwały bezgraniczne. — Ponieważ brakło mu wielu nieodzownie potrzebnych rzeczy, dla przyzwoitego ukazywania się w towarzystwie, na wszelkie formy nader baczném, kassa Beppa dostarczać musiała na pieszczonę dziecię, ubierać je, karmić, poić i płacić mieszkanie.

Z koleżeńską poufałością Wacek poczynał sobie z Beppem, który, szczęściem dla siebie, tak był zajęty wielkim obrazem, iż — byle mu nieprzeszkadzano — gotów był oddać co chciano. Wacek z tego korzystał.

Obraz podyktowany przez Tatka — czy istotnie tak zajął wyobraźnię i serce Czarnego, czy był rodzajem gwałtownego lekarstwa, zadanego sobie dobrowolnie dla wyleczenia ze smutku, dojść było trudno. Beppo pracował zajadle od rana do nocy, mówił tylko o tém, rysował figury, obmyślał szczegóły, robił studja, a jednak gorączkowe to zajęcie, jakiemś przymusowém się wydawało. — Brakło w niém serca i wiary; — fantazja unosiła artystę, który pół omdlały dawał się jej powodować bezmyślnie. . . .

Tatko przychodził często, rozmawiał wiele, przypatrywał się milczący i odchodził jakiś niezadowolony.

W istocie z Beppa trudno się było cieszyć, tak smutne robił wrażenie, człowieka zwichniętego, który porusza się, działa, obraca, nie ustaje w pracy, ale duszę podział gdzieindziej i odzyskać jej już nie może.

Milczący wstawał zwykle rano, Pola przynosiła mu śniadanie — zaraz po niém rozpoczynał studja do kartonów, rysował w domu lub po zbiorach i muzeach, i albo przesiedział dzień z ołówkiem w ręku, lub aż do nocy znikał gdzieś, niepowracając chyba na spoczynek. Wacek także nie przychodził wcześnie, często nawet już słowa do siebie nie powiedzieli i każdy z nich legł na swém łóżku.

Mimo pobratymstwa artystycznego i znajomości szkolnej jeszcze, mimo współczucia jakie Beppo okazywał dla trzpiota, dwie ich dusze wcale z sobą nie były w tym związku serdecznym, który zbliża, łączy i dla obu staje się pociechą. Ani Wacek ze swych świetnych powodzeń, ani Beppo ze smutku się nie spowiadał przed nim. — Żyli obok siebie nie z sobą.

Czarnego zapasy i zarobki wzięte we dwa ognie wyczerpywać się zaczynały. Jednego ranku, gdy Beppo zwieszony nad księgą szukał sobie strojów XIV. wieku do jednej z postaci przyszłego obrazu, a Wacek się starannie ubierał, bo miał iść do pani Elizy, — nagle młody trzpiot uderzywszy się po kieszeniach naprzód, zawołał do milczącego przyjaciela

— Beppo! patrz-że na mnie! jak mnie znajdujesz?

Czarny podniósł oczy.

— Jakto?

— Dobrze jestem ubrany?

— Zdaje mi się . . .

— Zabrałem ci krawat czarny i ostatnią czystą chustkę . . . ale co ci po nich, kiedy nie wychodzisz wcale.

— Bierz . . . proszę. . . .

— Pozabierałem ci, co tylko mi się przydać mogło, ale słuchaj, powiedz sam, czy podobna ażebym wyszedł bez grosza w kieszeni?

— A na cóż ci pieniądze??

— Jak to? ty nie wiesz na co są pieniądze? zawołał Wacek — o! szczęśliwy człowiecze . . . ty nie wiesz na co pieniądze? anachoreto! Ale gdyby tylko na to żeby niemi brząkać w kieszeni, są potrzebne koniecznie, a ja — nie mam ani pawła.

— I ja także — spokojnie rzekł Czarny.

— Ale cóż to z tego będzie! zlituj się — prostodusznie odparł Wacek, ty się opuszczasz! ty robisz rzeczy nie dające się sprzedać i spieniężyć, nie jesteś praktyczny. Jakże to można tak się zaniedbać — zmiłuj się — to się na tém skończy, że my z głodu pomrzemy!

Na tę, więcej niż naiwną, apostrofę, Beppo mimo głębokiego smutku, nie mógł się wstrzymać od półuśmiechu — ruszył ramionami, nie śmiał mu powiedzieć nawet — Dla czegóż ty nie pracujesz, i jaki ja mam obowiązek żywić i troskać się za obu?

Tym czasem Wacio chodził mrucząc po pokoju.

— Ale to nie może być — ozwał się — to nie może być — to nieznośny stan, żeby grosza w domu nie było. — Cóż ja zrobię?! Zlituj się Beppo, radź! Ja z całém zaufaniem rzuciłem ci się w objęcia, a tu przyjdzie mrzeć głodem. Może przecie masz co mniej potrzebnego do zastawienia lub sprzedaży? Mnie bo koniecznie potrzeba będzie pieniędzy!

— Ale zkąd-że ja ci wezmę? odparł cierpliwie Czarny.

— Ja się ciebie pytam zkąd-że ja mam wziąć? dodał Wacek śmiało.

Beppo rzucił książkę i popatrzał nań długo.

— Mój drogi, rzekł zimno, — kto przyjeżdża do Rzymu

aby się bawić tylko, ten zwykle z sobą pieniądze przywozi... Ja nie byłem i nie jestem bogaty, praca mi przychodzi ciężko, reszty które miałem spożyliśmy, radź sobie sam....

— A! to tak! — zawołał Wacek — ty serjo nie masz nic i dać mi nie chcesz, a to, posłuchaj-że, co ja tu u ciebie będę robił, zabieram się i ruszam....

— Bardzo mi cię będzie żal — odparł Beppo... ale cóż ja poradzę....

— W istocie, niechcący mogłem ci być ciężarem — rzekł Wacek, zabierając się do pakowania tłumoczka. — Co się tu za mnie należy, będziesz łaskaw zapłacić, później się porachujemy. Jeśli tak jesteś bez resursów żadnych, ja tu nie mam co robić, muszę sobie szukać pomieszkania — i znajdę.

Beppo wziął go za rękę z czułością brata.

— Waciu, rzekł łagodnie — pozwól sobie powiedzieć słowo życzliwe i choć może gorzkiem ci będzie, znieś je, bo z dobrego serca pochodzi. — Jesteś na złej drodze, której nie widzisz... trzeba pracować, trzeba porzucić świat, ludzi, którzy są swobodni i nie zmuszeni do trudu, aby się w nim nie zepsuć i nie rozleniwieć. Masz talent, zmarnujesz go, młodość minie, zostaniesz z niedościgłym kunsztem, najnędzniejszym z ludzi, niedoszłym artystą... który zwykle wychodzi na dumnego i nieznośnego żebraka.

Wacek ruszył ramionami śmiejąc się.

— Ale mój drogi, rzekł — ja jeśli tylko będę mógł, nie zostać artystą, najszczęśliwszym się uczuję — dla mnie sztuka jest narzędziem... ja chcę żyć i używać.

— Pocóżeś chwycił ołówek i pęzel? zapytał Beppo.

— Bo mi z tém było do twarzy! rozśmiał się Wacio. — Co mi tam! ja mam wiarę w siebie....

Zapiął sprzączki tłumoczka i podał rękę Beppowi.

— Bywaj zdrów, stary gdéro — do zobaczenia — przyślę fachina po moje rzeczy, a témczasem obmyślę przytułek, bywaj zdrów i niech ci muzy dają natchnienie....

Świszcząc w progu Wacio wyszedł — Beppo za nim popatrzał i siadł do papieru i książki. — Z wysiłkiem powrócił do tych studjów, ktore dla niego miały wartość tę tylko, że mu nie dawały myśleć o smutku — i gryźć się szałem, do którego przyznać się nie chciał przed sobą ani przed ludźmi. Praca służyła mu za pretekst do zamyślenia, pogrążenia, do unikania ludzi.

Stan duszy był boleści pełen. — Obraz Cesi, która tak krótko błysnęła mu nadzieją szczęścia, uparcie powracał z tém słowem zabójczém na ustach — Nigdy! — Nie wiedział sam kiedy i jak dał się wziąć nadziei i oplątać marzeniu — a teraz gdy wyrzec się ich musiał — nie umiał.... Chwilami zwątpienie i rozpacz go ogarniały, chciał iść, zobaczyć ją, pomówić z nią chłodno, usłyszeć głos — zapewnić się że mu choć życzliwość zachowała — potém lękał się, aby widok jej nie pogorszył na przyszłość tęsknicy.... W takich walkach z samym sobą upływały mu dnie długie.... Zrywał się do męczącej pracy, rzucał ją — wracał do niej... uciekał z domu w okolice, unikał ludzi.

Wielki obraz, którego myśl poetyczna chwyciła go chwilowo i przejęła gorączką, nakreślony był wśród tych boleści ręką drżącą na kartonie małym, mającym do wielkiego i wykończonego posłużyć. Ogólne linije, grupy, niektóre postacie wychodziły wyraźniej, reszta zostawała pomazana i pokreślona w nierozwikłanym rysów chaosie.

Na rozsypanych kartkach widniały niektóre postacie, Mieczysława, Chrobrego, Śmiałego, Kazimierza, Łokietka, świętych apostołów Odrowążów, Jadwigi... Stanisława i t. p. — Z tych jednak materjałów wielkiego obrazu nic o nim jeszcze wnosić nie było można. Pojęty i wykonywany w nierówném usposobieniu, w febrze, naprzemian potęgującej siły i oziębiającej nosiły cechy pochodzenia... styl jeden je nie łączył. Sam Beppo przeglądając co zrobił, nie był tém zadowolniony, ale według siebie sądził, że gdy mnóstwem studjów tych zostanie znużony, — gdy się przekarmi do syta obrazem — spali potém wszystek ten materjał i — z wrażeń duszy później w chwili natchnienia jednej stworzyć potrafi... arcydzieło....

Tak myślał czasem — ale potém opadały mu ręce i pytał się siebie

— Po co? dla kogo?

Przypomnienie kraju osmucało go. — Wieluż było ludzi, coby dzieło sztuki potrafili ocenić, ukochać i znaleść dlań pomieszczenie? Nadewszystko gdzie byli sędziowie, znawcy? i serca co by uderzyły dla arcydzieła?...

— Wymaluję obraz dla siebie — mówił w końcu, dla tego starca co je obmyślał... a jeśli gdzie płótno się uchowa dla jakiejś nieodgadnionej przyszłości... może *ex ossibus nostris* wyrośnie człowiek, co je zrozumie i łzą pokropione odżywi.

Po wyjściu Wacka, stał jeszcze nad papierami Beppo, myśląc na pół o nim, pół o sobie i swém dziele, gdy o kiju przywlókł się Tatko.

Zwykle pogodna twarz jego, tym razem, mimo łagodności, jakąś mgłą smętnego wrażenia była okrytą. Siadł nic nie mówiąc i patrzał na karton, ścisnąwszy rękę Czarnego, więcej wszakże zdawał się badać czoło artysty niż pracę....

— Tak, rzekł, są to ujęte w linije myśli moje, jest to cień tego co ja śniłem — ale z twojej duszy jeszcze tu nie wpłynęło nic, jeszcze nie rozgorzałeś do idei, jeszcześ jej sobie nie przyswoił, jeszcze się nią nie przejąłeś... biedny Beppo!

— Biedny? spytał artysta — usiłując się zaprzeć.

— Tak — biedny — odparł Tatko. — Jak są ludzie różnie znoszący upojenie, kłótliwi i weseli — zgryźliwi i płaczący, tak są rozmaicie umiejący się kochać. Ten szaławiła Wacek kocha się wesoło, ty kochasz się na smutno... W tobie zawsze jeszcze gra niedogasła miłość?

— Ale nie — rzekł Beppo.

— Ale tak, mój synu, po co się tu zapierać — mówił stary — puściłeś się zadaleko grzesznemi myślami, a teraz cierpisz. Czemu nie kochałeś ducha i duchem? W takim razie gdyby ona nie była ciebie godną, byłbyś wyleczony od razu. Jak tylko w sprawę miłości wda się ciało — rozum, uczucie, wszystko zwyciężone i bezsilne... kocha się w tém co kochania nie warte....

— Mój ojcze, odpowiedział Beppo, trudno ludzką przerobić naturę... ma ona swe prawa....

— Tak jest ma granice — mówił stary, ale ponieważ mowa o tém, pozwól mi być nudnym i mówmy o naturze... Rousseau nazwał człowieka zepsutém zwierzęciem, o stanie natury mówią wszyscy jak o ideale — ale stan natury jest stanem dzikości i upadku, antypodami życia społecznego, które kształci człowieka i wyrabia zeń istotę nową, utwór — życia towarzyskiego, nieprzerwaną karmiącego się tradycją. Trzeba natury rozróżnić i przyjąć ich dwie nie jedną.

Natura zwierzęcia jest punktem wyjścia, bo ludzkość się kształci i wyrabia duchowo co raz wyżej. Człowiek tę dziką naturę opanowuje, podbija dla ducha i czyni ją jego narzędziem. Nie może z pewnością wyjść za granice warunkami życia mu zakreślone, ale one są rozległe a wszystko co człowiek działa dla podźwignięcia się, jest także jego stanem natury — tylko coraz wyższym i doskonalszym.

Naturę zwierzęcą trzeba przerobić, zwyciężyć i stworzyć z niej idealną, ludzką....

— A ta ma być jaką? spytał Beppo.

— Taką, którą my dziś za marzenie tylko, za utopią uważamy... rzekł starzec. Nasz wiek wyłamuje się z ideałów, to jego wina.

W życiu społeczném, w polityce, w stosunkach międzynarodowych hołduje rzeczywistości, opiera się na niej, wyszydza niepraktyczne sny, i powoli schodzi niemal do tego stanu natury, który jest stanem upadku — tém właśnie co pismo nazywa — grzechem pierworodnym.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.